

# małodo drze

CZYTELNI

PL ISSN 0403-7667 Nr indeksu 38 650

ZIELONA GÓRA  
ROK XXXII NR 10 [667]

15 — 28 V 1988 R.  
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Książki  
jak  
witaminy

Miotła,  
gaśnica,  
mandatem

Z DZIEJÓW  
KONTRWYWIADU

I ty zostaniesz  
emerytem/2

SCENY *miłosne*

## POWAGA ŚWIATA

Ze Stefanem Słockim, artystą plastykiem,  
rozmawia Czesław Sobkowiak

— Zaczniemy od pierwszych doświadczeń, czyli od dzieciństwa. Jakże ono było?

— Miałem rok, kiedy w 1914 na wojnie zginął mój ojciec. Opiekował się mną dziadek. Kiedy zacząłem przejawiać zamiłowanie do rysowania, jeden z wujków zajął się moim rozwojem. Miał trzy lata wziął mapę i robiłem na niej różne rysunki. Później wujek dał mi książkę do zoologii, gdzie były zwierzątka. Rysowałem te zwierzątka. Aż ktoś przestrzegł mnie, bym nigdy nie kopiował rysunków. Wówczas to drzewo? Narysuj je. Wówczas to owoc? Narysuj go. Wówczas ten dzbanek? Narysuj go. I tak się zaczęło.

— Tak więc kształtowało cię najbliższe otoczenie?

— Jeszcze słowo o moim dziadku. To był taki filozof-amator. Absolwent gimnazjum. On mnie nauczył czytać. W piątym roku życia już gładko czytałem. Poszedłem od razu do drugiej klasy. I czytałem mu różne książki filozoficzne. Mało co rozumiałem, ale to nieważne teraz. Kiedyś powiedział do mnie: Jeśli będziesz bogaty, to z opresji życiowej możesz się wykupić. I przy pomocy pieniędzy uratujesz własne życie. Ale w człowieku jest jedna rzecz, której nigdy za żadne skarby nie odkupisz. I tej rzeczy nie można sprzedać ani pozbyć się. Tym jest sumienie.

— Czy przydała się tobie ta nauka później w malarstwie?

— Oczywiście. Choć nie tak bezpośrednio jakby się wydawało. Są czasem sytuacje, kiedy przysłówiowej kreski nie można, po prostu nie wolno, doprowadzić wbrew sobie. Bo wtedy by się człowiek zatracił. Odchodził od siebie. A jeden błąd przywołuje następny. Czas zasadniczej próby nastąpił dla mnie w socrealizmie. Mogłem robić karierę, ale wbrew sobie. Nie było wtedy łatwo wytrwać przy własnym postanowieniu. Ja jednak jakos wytrwałem.

— Czy we wczesnych latach młodości już wybrałeś malarstwo?

— Nie wiedziałem jeszcze do końca, co będę robił. Pisałem również wiersze. Interesowałem się poezją. Ale malarstwo brało górę. Poza tym otaczała mnie

muzyka. Dziadek pięknie grał na wolonczeli. Jak zagrał „Ave Maria” Gounoda, to wszyscy plakali jak bobry. Wybor mógł również paść na muzykę.

— Atmosfera twojego domu była przeżywa piękno?

— Pamiętam ją do dzisiaj. Zostałem tym klimatem prześlągnięty.

— Czy bez tej atmosfery byłbyś tym, kim dzisiaj jesteś?

— Moze i byłbym, ale trudno mi to sobie ot tak wyobrazić. To jest ważna sprawa. Tak patrzę na świat i myślę, że bez tworzenia sprzyjających warunków, dobrego klimatu do wspólnego przeżywania i kształtowania wartości humanistycznych, zamiłowania do sztuki, literatury, poezji, do poświęcania się wielkim ideałom nie jest możliwe ani wielkie życie, ani wielka kultura.

— Mówimy o sumieniu, o kształtowaniu wartości. Jakże doświadczenie swojego życia uznał byś za najważniejsze?

— To, co teraz powiem, może zabrzmieć bardzo prozaicznie. Ale odczułem wielki wstrząs, kiedy pierwszy raz oglądałem wystawę plastyczną we Lwowie. To była wystawa malarstwa Kossaków i innych artystów. Kiedy chodziłem na tę wystawę, to zawsze marzyłem i myślałem tylko o jednym: czy ja będę w stanie kiedyś tak malować?

— Później przyszedł czas i na twoje wystawy, na twoją legendę, tu w Zielonej Górze?

— Dużo musiało jeszcze wody w Dniestrze upłynąć. Dużo musiałem przeżyć w czasie wojny i po wojnie. Studiowałem od 1930 roku na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Następnie przeniosłem się na uczelnię we Lwowie. Pierwsza ekspozycja moich prac miała miejsce w Łucku w 1936 roku. Pamiętam, że kilka prac wtedy nawet sprzedawałem. Miałem już pewien zarys swojego poglądu na awangardę. Miałem własne marzenie o przyszłości, postępie, ludzkości. Fascynował mnie formiś

Ciąg dalszy na str. 6



FOT. ELIZABETA WALEŃSKA



# NASZ KONTYNET

Amerykańsko-radziecki układ o likwidacji rakiet średniego i krótszego zasięgu, perspektywa podpisania układu o 50-procentowej redukcji strategicznych broni ofensywnych w ZSRR i USA, zobowiązanie przestrzegania ABM (o obronie przeciwrakietowej) stwarzają zupełnie nową sytuację w Europie.

W ciągu swego istnienia kontynent nasz widział już wiele najazdów i wojen, organizowanych według wszelkich prawideł nauki danej epoki. Obecnie po raz pierwszy w ciągu swej długiej i niełatwej historii Europa otrzymuje trwałą szansę na pokojową przyszłość. Czy uda się to zrealizować?

Zgodnie z podpisanym przez oba supermocarstwa porozumieniem — ZSRR zlikwidował w Europie 1752 rakiety średniego i krótszego zasięgu, które nacielowane były na obiekty znajdujące się w Europie Zachodniej. Obecnie pozostały tylko (jeśli to nazwać można „tylko”) — centralny system strategiczny oraz taktyczna broń atomowa. Amerykanie ze swej strony zlikwidowali 859 analogicznych rakiet, również pozostawiając nietknięte siły strategiczne i taktyczną broń atomową oraz myśliwce bombardujące, skoncentrowane na terenie baz amerykańskich w Europie i na lotniskach, krążących po wodach otaczających nasz kontynent.

Układ waszyngtoński oznaczał zmniejszenie możliwości wcielenia w życie (jeśli tak można mówić o broni masowego zniszczenia) oficjalnie kanonizowanej doktryny wojennej NATO — doktryny elastycznego reagowania, albowiem zniknęły „Pershing-2” i skrzydlate rakiety. Ale pozostały przecież siły francuskie: 130 nosicieli broni nuklearnej i 300 głowic bojowych. Siły te mają ulec dalszej rozbudowie i modernizacji. Trzeba podkreślić, że na ostatnim posiedzeniu Grupy Planowania Nuklearnego NATO omawiano właśnie plany dalszej modernizacji całego arsenału jądrowego NATO i to w tym samym czasie, gdy zbliża się szczyt Reagan-Gorbaczow w Moskwie. Wracając do Francji, to warto powiedzieć, że w planach przyszłościowych, kiedy to rekonstrukcja arsenału nuklearnego tego państwa ma się zakończyć, ilość nosicieli broni atomowej ma przekroczyć 700 sztuk. Znaczna część tego potencjału będzie umieszczona na ruchomych wyrzutniach a ich liczba zbliży się do ilości zlikwidowanych „Pershingów-2”.

Nie pozostaje w tyle od wspinania się na nuklearne wyżyny i drugie mocarstwo atomowe w Europie — Wielka Brytania, która także przeprowadza modernizację swych sił. Wymiana na brytyjskich okrętach podwodnych rakiet typu „Polaris” na „Tridenty-2” wielokrotnie zwiększa angielski potencjał. Tym sposobem łączny potencjał jądrowy Europy Zachodniej wzrasta do 1300 głowic bojowych (wobec dotychczas istniejących 400).

Mimo woli można zadać pytanie, czy nie nastąpiła tu swego rodzaju „zmiana warty”, w ramach której europejscy członkowie NATO biorą na siebie eurostrategiczne rakietowo-jądrowe funkcje. Nie podlegają one przy tym żadnym ograniczeniom. Podobna sytuacja ma miejsce w dziedzinie technologii ABM, gdzie Ameryka pozostawiła Francji i Anglii całkowicie wolną rękę.

Dostarcza to również RFN, która nie chce już więcej antyszambrować w Waszyngtonie, lecz prowadzi w dużym stopniu samodzielną politykę. Widoczna jest wojskowa z Paryżem nie może nie budzić także określonych „reminiscencji”, jeśli chodzi o supremację militarną w Europie ze strony Bonn.

Myśląc kategoriami globalnego strategicznego parytetu w pierwszym rzędzie w stosunkach radziecko-amerykańskich, nie dostrzegano w wystarczającym stopniu Londynu i Paryża. Oczywiście obecnie jeszcze wielkość np. francuskiego arsenału ma się jak 400 do 1000, ale wobec ZSRR w przyszłości będzie się to wyrównywać.

Europa Zachodnia, gdzie ostatnio ożywił się wieniec wojkowo-integracyjne procesy, odgrywa coraz większą rolę w europejskim i światowym bilansie sił. Z tym trzeba się liczyć.

MICHAŁ HOROWICZ

Z prasy radzieckiej

# Na zakręcie historii

Agencja TASS przekazała treść wystąpienia sekretarza KC KPZR Anatolija Dobrynina w trakcie narady partii komunistycznych, robotniczych i rewolucyjno-demokratycznych w redakcji miesięcznika PROBLEMY POKOJU I SOCJALIZMU w Pradze. Tekst ten publikujemy we fragmentach.

Obecna dyskusja nad pracą czasopisma PROBLEMY POKOJU I SOCJALIZMU przebiega w sytuacji radykalnych zmian na świecie, we wszystkich jego częściach. To zaś oznacza, że powstają nowe, pod wieloma względami zasadniczo nowe warunki budowy socjalizmu, klasowej i narodowo-wyzwoleńczej walki ludów.

Zagadniami życia wewnętrznego partii tu nie dyskutujemy — to ich suwerenne prawo. Mówienie jednak o realnym stanie naszego ruchu, o przyczynach złożonej i sprzecznej w nim sytuacji jest, w kontekście zadań czasopisma, w pełni uprawnione i konieczne. Przyczyny te są niejednoznaczne. Nieco upraszczając można je wskazać sprowadzić do trzech grup.

Pierwsza wiąże się z pewnymi istotnymi modyfikacjami światowego rozwoju społecznego, przede wszystkim z nowymi zjawiskami w rozwoju kapitalizmu, który odkrył znacznie większe niż wydawały się wcześniej, rezerwy trwałości. W warunkach rewolucji naukowo-technicznej i wywołanych przez nią głębokich przesunąć społecznych zmienia się charakter bazy masowej, na której tradycyjnie opierał się ruch komunistyczny, co postawiło go w obliczu niełatwych problemów.

Co do bratnich partii krajów rozwijających się, to powstały tam swoiste trudności, wiążące się nie tylko z cechami odziedziczonymi z przeszłości, ale i złożonością ich współczesnego rozwoju. Większość tych krajów faktycznie stanęła przed koniecznością walki o drogę postępowego rozwoju demokratycznego w warunkach kapitalizmu.

Druga grupa obiektywnych przyczyn, hamujących rozwój ruchu komunistycznego, wiąże się niewątpliwie z tym, ale i złożonością ich współczesnego rozwoju w istocie nie ujawniły jeszcze w pełni własnych walorów, nie dostarczyły dotąd przekonującego mas na Za-

chodzie wzorca głębokiej demokratyzacji społeczeństwa i radykalnego, wyprzedzającego rozwiązywania kwestii ekonomicznych. Doszło do tego negatywne procesy w rozwoju szeregu krajów socjalistycznych, począwszy od naszego. Siła przyciągająca socjalizmu w rezultacie osłabła.

Nasze przebudowy — wychodząc od warunków i potrzeb swojego kraju — bynajmniej nie zamierzamy przedstawiać jako recepty nadającej się dla wszystkich. Wyrażnie jednak dostrzegamy także swoją odpowiedzialność międzynarodową za powodzenie sprawy, którą wszczęliśmy. Przeciwnie od odnowy teorii i praktyki socjalizmu, od zdolności komunistów do uwzględnienia zmian zachodzących w świecie należą nie tylko losy socjalizmu, ale w dużej mierze także charakter i kierunek całego światowego rozwoju społecznego, w ostatecznym rozrachunku przyszłość samej cywilizacji. Mimo wszystko niezmienność pozostaje podstawowy wniosek: Obok kapitalizmu jest inna możliwość. Jest nią socjalizm.

Trzecia grupa przyczyn, które wywarły ujemny wpływ na sytuację w ruchu komunistycznym, odnosi się do sfery stosunków między bratnimi partiami. Jesteśmy przekonani, że ruch komunistyczny jest w stanie wydoszczęcić się z przewlekłego okresu, wyróżniającego się wybuchami polemiki w formach, które doprowadziły do zaostreżenia stosunków między partiami, a nawet do ich zrywania. Nie wydaje się już dłużej problemem także potwierdzenie samodzielnosci i niezależności partii — obecnie nikt i nie temu nie zagraża. Tymczasem nie nadążanie komunistów we współpracy międzynarodowej szczególnie widac na tle działań międzynarodówek innych politycznych nurtów i partii — socjaldemokratów, Zielonych, chrześcijan, konserwatystów, liberałów. I na pewno można śmiało twierdzić, że od przewyższenia tego

pozostawania w tyle, od pogłębienia współdziałania partii komunistycznych najbardziej bezpośrednio zależy losy naszego kraju.

Naszym zdaniem, ruch komunistyczny przeżywa obecnie okres wymagający odpowiedzialności moment swego rozwoju. Jest to moment śmiałych poszukiwań, rozmyślań, zwątpień i nadziei. Z kluczem dla nas wszystkich sprawą — o wiele bardziej gruntownego poznania współczesnego świata i jego problemów. Upamiętnienia sobie przebytej drogi, w tym historycznego doświadczenia, a zatem wytyczenia szlaków wiodących w przyszłość.

Niestety, my wszyscy — mówiono o tym wprost na listopadowym spotkaniu w Moskwie — wyraźnie opóźniamy się w upamiętnieniu sobie istoty nowych realiów końca XX wieku. Trzeba nadbrać zaniechania w tym względzie, a przede wszystkim zabrać się do nowych zagadnień teoretycznych. Jednym z aktualnych zagadnień tego rodzaju jest współzależność interesów i problemów ogólnoludzkich oraz klasowych. Teoretycznie sprawa zdawałaby się prosta. Z jednej strony, jak wskazywali już Marks i Engels, a następnie Lenin, misja historyczna klasy robotniczej polega na wyzwoleniu całej ludzkości, na stworzeniu na ziemi społeczeństwa wolnego od ucisku socjalnego i narodowego, od plag wojen itd. Z drugiej strony właśnie klasa robotnicza, masy pracujące najbardziej cierpią w wyniku obecnego zaostreżenia problemów globalnych — wysięgi zbrojeń, wojen, w tym lokalnych, nie rozwijają problemów rozwoju (Północ-Południe). A więc także ludzie pracy są przede wszystkim zainteresowani rozwiązaniem zadań o charakterze ogólnoludzkim. Jest to dla nich imperatyw — i klasowy i ogólnoludzki.

Chciałbym zwrócić uwagę na dwa aspekty tej kwestii. Pierwszy polega na tym, że już dawniej marksisci uważali, iż zlikwidowanie ucisku klasowego będzie weselej niż rozwiązanie problemów o charakterze ogólnoludzkim, to obecnie nie można liczyć na sukces w walce klasowej, nie przyjmując hasła i zadań ogólnoludzkich. Jest to nowa, ale niezwykle ważna okoliczność. Aspekt drugi, to konkretne powiązanie walki o rozstrzygnięcie kwestii ogólnoludzkich i klasowych, znalezienie odpowiednich po temu hasła. To zadanie dające się rozwiązać tylko z uwzględnieniem specyfiki narodowej każdego z krajów.

Jest jeszcze jedna sprawa, którą my wszyscy musimy przemyśleć pod nowym

współczesnym kątem widzenia — to sprawa drogi rozwoju walki o postęp społeczny we współczesnych warunkach. Wiele partii komunistycznych już dawno doszło do wniosku, iż niezbędne jest zapewnienie pokojowej drogi przeobrażeń społecznych w warunkach stałego rozszerzającej się demokracji. W powstałej sytuacji międzynarodowej jest to wniosek nad wyraz aktualny.

Mogą wszakże powstawać i inne sytuacje. Ingerencja imperializmu, przemoc ze strony sił prawicy (czego nigdzie nie sposób wykluczyć) mogą rodzić działania odwetowe — nawet w pełni usprawiedliwione — w tym także działania zbrojne, „z” strony sił rewolucyjnych. Jak ograniczyć taki konflikt do ram narodowych, nie dać mu przekształcić się w nową zaryzę napięcia międzynarodowego? Również ta problematyka wymaga wymiany poglądów, wzięcia pod uwagę wszelkich istniejących doświadczeń.

W każdym razie jest dla nas jasne, że postęp społeczny niezależnie od drogi jego rozwoju, jest obecnie możliwy tylko w warunkach pokoju międzynarodowego, tylko w sytuacji przestrzegania prawa każdego ludu do swobodnego, bez ingerencji z zewnątrz, określenia swego losu.

Wszystkie te zagadnienia są już dyskutowane, przy czym niekiedy zapalczywie, w gorącej atmosferze. W toku dyskusji wyraża się różne, niekiedy niezbieżne punkty widzenia. Sadzę, że jest to zupełnie naturalne, biorąc pod uwagę tak specyficzną sytuację w poszczególnych „ajach i regionach, jak i szczególność sytuacji tej czy innej bratniej partii.

Wyciągamy dla siebie taki wniosek: Bardzo ważne jest, by z uwagą wysłuchiwać się nawzajem, studiować wzajemne stanowiska i punkty widzenia, szczególnie dotyczące ogólnej teorii. Jasne, że nikt z nas, rewolucjonistów nie ma prawa nie nadążać za życiem i wysuwaniem przez nie problemów. KPZR na własnym doświadczeniu przekonała się, że jakiegokolwiek nie nadążanie za życiem, jakiegokolwiek dystansowanie się od skomplikowanych spraw prowadzi do pojawienia się trudności, a w innym przypadku może stworzyć nawet sytuację dramatyczną. Wyciągamy z tego niezwykle poważne wnioski na płaszczyźnie politycznej i na płaszczyźnie twórczego rozwijania teorii, w czym chcielibyśmy współpracować z bratnimi partiami.

## Z WIZYTĄ

## U BORISA JELCYNIA

Niemieckojęzyczna mutacja radzieckiego tygodnika MOSKOWSKOJE NOWOSTI zamieściła artykuł Michaila Poltoranina, zatytułowany „Z wizytą u Borisa Jelcyna” Publikujemy tłumaczenie tego tekstu.

Po pozabawieniu B. Jelcyna stanowiska I sekretarza moskiewskiego komitetu miejskiego partii i mianowaniu go ministrem już raz się z nim spotkałem. Byłem wówczas redaktorem w MOSKOWSKIEJ PRAWDZIE i otrzymałem na Uralu listy z dopiskiem „Do rąk towarzysza Jelcyna”. W listach zajmowano stanowisko wobec uchwały plenium moskiewskiego komitetu miejskiego z listopada 1987 r., a dlaczego listy te kierowano do redakcji gazety, wyjaśnił później.

Do połowy stycznia Boris Nikolajewicz pozostawał w szpitalu, a gdy tylko po powrocie do zdrowia wypisano go, poprosiłem o spotkanie. Zabrałem więc ze sobą teczkę z pocztą dla niego i wkrótce znalazłem się w potężnym, szarym budynku Państwowego Komitetu ds. Budownictwa. Przeszedłem obok tradycyjnego posterunku milicyjnego w hallu, wszedłem na trzecie piętro i nie mały na końcu krętego korytarza znalazłem jego gabinet. Jelcyński wstał zza biurka i podszedł do mnie. Na pierwszy rzut oka wyglądał identycznie jak przed chorobą, wysoki, sprężysty. Tylko jego ruchy nie były już tak żywawe. Kroczył nieco ociężałe po rozestawianych chodniku, pocierając przy tym od czasu do czasu lewą stronę klatki piersiowej. Wiedziałem Jelcyna na listopadowym plenium komitetu miejskiego, dokąd przywieziono go ze szpitala. Przeraziła mnie wówczas jego twarz z objawami duszności. Teraz wyglądał właściwie normalnie, choć schudł. Powiedziałem mu, że bardzo się zmienił. „Tamtego dnia naszpikował i mnie lekarstwami, musiałem przecież znów stanąć na nogi” — wyjaśnił mi. Ton jego głosu był obojętny, lecz gdy przypomniał sobie ów listopadowy dzień, ściągnął gniewnie brwi.

Usiedliśmy przy stole pod oknem. Wyjął z teczek pliki listów, przejrzał je po bieżnie i poukładał porządkie w stosy. Zapytałem, jak mu idzie na nowym

stanowisku — Zapoznając się dopiero ze swymi obowiązkami służbowymi — powiedział Jelcyński Stanowisko pierwszego zastępcy przewodniczącego Państwowego Komitetu ds. Budownictwa i rownocześnie ministra wymaga niewątpliwie głębokiej wiedzy fachowej, ale on się na tym zna. Jest przecież inżynierem budowlanym i wcześniej pracował jako dyrektor kombinatu budownictwa mieszkaniowego. Jako sekretarz KC KPZR także był odpowiedzialny za sprawy budownictwa. W każdym razie musi się przyzwyczaić do roli zastępcy, a to dla 57-latkę, który był dotąd prawie zawsze człowiekiem nr 1, nie jest z pewnością łatwe. Ale on już da sobie radę.

Miałem do niego jeszcze jedno „drażliwe” pytanie. W owym czasie krążyły już po Moskwie kopie przemówienia, które miał on wygłosić (jak stwierdził w streszczeniu) na październikowym plenium KC KPZR. Zapytałem, kto i w jakim celu polecił powołać nielegalnie tekst przemówienia, stanowiącego dokument wewnątrzpartyjny. Wywołało to zdziwienie. Jelcyński bardzo się zdumiał i zaniepokoił moim pytaniem. „O swoim przemówieniu”, które dodatkowo jeszcze rozpowszechniano w odpisach, nie przedtem nie słyszał. „Jest to prawdziwy podstęp nie fałszerstwo, nie istnieją w ogóle ja kółkiem tekst mojego przemówienia na plenium październikowym”.

Zalował, że nie postarałem się o tekst „jego przemówienia”. Chciał w tej sprawie uzyskać pełną jasność. Nie pozostało mi nic innego — jak tylko obiecać mu, że zrobię wszystko, co możliwe, by uzyskać przemówienie. Uzgodniłem, że gdy znów dojdzie do formy (w owym czasie lekarze nie zezwalały mu na więcej niż cztery godziny pracy dziennie), spotkam się ponownie. I tak pożegnaliśmy się.

Wkrótce potem udało mi się uzyskać kopie „przemówienia”. Około 35-letni mężczyzna o nie rzucającej się w oczy twarzy i sportowym wyglądzie sprzedawał je całkiem jawnie na jednej ze stacji metra. Nie zadzwoniłem jednak do Jelcyna od razu. Potem przez dłuższy czas byłem bardzo zaabsorbowany spra-

wami, związanymi ze zmianą miejsca pracy. Niedawno jednak znów trafiłem na to samo „przemówienie”, ale tym razem zostało ono opublikowane najpierw we francuskiej, a następnie w zachodniemiejskiej gazecie. Wtedy po wiedziałem sobie, że nie mogę dłużej odwlekać tego spotkania. Dzwoniłem parokrotnie do biura Jelcyna, jednakże telefon milczał. Następnie zadzwoniłem pod jego numer prywatny i jego żona, o prawdziwie syberyjskim imieniu Naja, powiedziała mi, że Boris Nikolajewicz znalazł się ponownie w szpitalu. Ma coś z sercem, ale jego stan jest całkowicie zadowalający. Ze Swierdłowska przyjechała także matka Jelcyna, Kławdia Nikolaiewna. Ona także, chce odwiedzić syna. Jeśli miałbym ochotę, to mógłbym wraz z nią pojechać do szpitala.

Nawet gdyby mi nie powiedziano, kim jest ta starsza kobieta, zgadłbym, że chodzi o matkę Borisa Nikolajewicza. Oboje są do siebie bardzo podobni. Ma ona 80 lat i jest jeszcze żywotna. W jednej ręce niosła torbę z syberyjskimi porąkami, w drugiej bukiet róż. Po drodze Kławdia Wasiliewna opowiadała mi o swoim życiu. Pracowała wcześniej jako szwaczka, ale jest „od ponad 25 lat na emeryturze”. Przed kilku laty dostała dodatkę do renty — teraz otrzymuje 60 rubli. W Swierdłowsku mieszka u młodszego syna Michaila. Jest on brzydgiem na budowie, Jelcyńowie mają budownictwo we krwi. Jej zmarły przed 11 laty mąż także był robotnikiem budowlanym. Oba synowie i córka poszli w ślady ojca. Także u Borisa, jej pierworodnego, córka pracuje w budownictwie, zaś żona, Naja jest z zawodu inżynierem-projektantem. Gdy Kławdia Wasiliewna wspominała o synowej, jej twarz rozjaśnił lekki uśmiech, głos stał się delikatniejszy i powiedziała, głosząc przezroczyście niemal dłońmi swoje piękne futro: „Ubiara mnie od stóp do głów”. Potem umilkła pograżając się w myślach, by po chwili wypowiedzieć zdanie, które nie pozostawiało w żadnym wyraznym związku z naszą dotychczasową rozmową: „Dałby Bóg, żeby on znów był zdrowy”. Pod tym względem wszystkie chyba matki są równe.

Z rozmowy wynikało, że Kławdia Wasiliewna nieprzypadkowo przybyła do Moskwy. BBC podało, że Jelcyński umierający. Choć krewini usilnie starała się go uspokoić i odwieść od wyjazdu, nie mogła jej zatrzymać w Swierdłowsku. Wszystko, co przytrafiło się jej najstarszemu synowi, brała sobie bardzo do serca. Gdy w gazecie przeczytała sprawozdanie z plenium moskiewskiego komitetu miejskiego, nie mogła się uspokoić. Próbowała dowiedzieć się czegoś bliższego na ten temat, skontaktowała się z rodziną najstarszego syna. Wszystko to jednak było daremne: moskiewski telefon był dniem i nocą zajęty. Poszła na pocztę, by nadać tele-

gram, ale tam (jak i we wszystkich urzędach pocztowych Swierdłowska) napotkała na wywieszce: „Nie dostarcza się jakiegokolwiek przesłank dla B.N. Jelcyna”. (Właśnie dlatego ludzie wysyłali listy do redakcji MOSKOWSKIEJ PRAWDY z prośbą do dziennikarzy, by przekazać je Jelcyńowi.). Prawdopodobnie w wielkim mieście Swierdłowsku nie można było znaleźć ani jednego egzemplarza konstytucji ZSRR, do której, mając zamiar wydać tego rodzaju zarządzenie, nie trzeba było z pewnością zarządzić. Jakby nie patrzeć, Kławdia Nikolaiewna na przyzwyczajeniu się w ostatnich miesiącach do życia między Moskwą a Swierdłowskiem — nigdy przedtem nie po drodze była tyle pociegiem i samotnością.

W szpitalu Jelcyński zszedł ze swego pokoju do hallu wejściowego. Miał na sobie jasnoniebieski dres. Kławdia Wasiliewna spojrziała synowi w oczy i powiedziała, że teraz jest spokojna, nie będzie na niego czekać i zostawi nas samych. Ucisnęła syna i poszła.

Zapytałem Borisa Jelcyna, jak się czuje. Odpowiedział, że stopniowo odzyskuje zdrowie, jakim cieszył się niedługo na Uralu. Przekazałem mu nabytą w metrze kopię i tłumaczenia „jego” opublikowane go w Paryżu i Hamburgu „przemówienia”. Czytał je dość długo. Potem usiadł na krześle. „Pamiętam, pamiętam, co panu powiedziałem: nie było żadnego tekstu mojego przemówienia na plenium październikowym. Nie robiłem żadnych notatek. Chętnie dowiedziałbym się, kto nie jest wystarczająco leniwy, by wymyślić i rozpowszechniać tego rodzaju fałszerstwa. Po co on to robi? W celu pokazania, że z powodu osobistej niechęci do tego czy innego zabiera głos?”

O czym pan wtedy właściwie mówił?

KC nie podjął żadnej uchwały w sprawie opublikowania wygłoszonych na plenium przemówień. Jako członkowi KC nie wolno mi naruszać tego postanowienia. Nie chcę już także więcej mówić o tym, co powiedziałem pół roku temu. Być może w paru sprawach myślałem. Mówiłem jednak szczerze i powiedziałem to, co czułem i co uważałem za słusne. Ktoś powiedział trafnie, że każdy musi myśleć samodzielnie, aby potem wszyscy nie przejechali w jednym momencie.

„Zgadza się, gwarancje demokratyzacji są najczęściej kwestią sporną” — przytaknął Jelcyński. „Jedni uważają, że porządek ustawiona jest zbyt wysoko, inni już dziś widzą możliwość podniesienia jej jeszcze wyżej. Dlaczego połączyła na ten sam problem są tak różni ludzie? Ja jednak należę do tych, którzy gotowi są kroczyć wyboistą drogą i nie boją się ryzyka”.

Porozmawialiśmy jeszcze o paru sprawach. Potem Jelcyński musiał się udać do pokoju zabiegowego. Wziął kwiaty, wstał i energicznym krokiem podążył w stronę drzwi.



## Z Ryszardem Wilmińskim, dyrektorem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie, rozmawia Zenon Łukaszewicz

— Jest pan sześć lat dyrektorem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. W jakich okolicznościach objął pan to stanowisko?

— Do pracy w Bibliotece przyszedłem 1 lutego 1982 roku, obejmując stanowisko zastępcy dyrektora. Uprzednio przez cztery lata pracowałem w Wydziale Kultury i Sztuki UW, a jeszcze wcześniej byłem stypendystą Urzędu Powiatowego w Myśliborzu i ukończyłem studia prawnicze. Od 1 stycznia 1984 roku jestem dyrektorem. Jest to moja praca i z wyboru, i z tzw. skierowania administracyjnego. Dziś, po kilku latach, mogę stwierdzić, iż stała mi się ona bardzo bliska...

— Jak prezentuje się sieć biblioteczna w województwie?

— Mamy obecnie 147 stałych placówek bibliotecznych — gminnych, miejsko-gminnych i filii. Na koniec ub. roku zanotowaliśmy 658 punktów wypożyczania książek. W ostatnich trzech latach uruchomiliśmy ponad dziesięć placówek w województwie oraz cztery w samym Gorzowie. Najczęściej w adaptowanych bądź rozbudowanych budynkach. A w samym Gorzowie wykorzystaliśmy nawet piwnice i strychy. Stąd tutaj właśnie sytuacja jest najtrudniejsza. Natomiast bardzo wymierne są nasze osiągnięcia jeśli chodzi o punkty biblioteczne, dlatego iż po gwałtownym ich zmniejszeniu się w latach 1980-81 od 1982 roku mamy do czynienia z takim ich rozwojem; mniej więcej co roku przybywało nam ich 30-40. Jest to zresztą wynikiem uchwały WRN o rozwoju sieci bibliotecznej. I obecnie ich ilość w stosunku do liczby mieszkańców lokuje nas w czołówce krajowej.

— Prowadzenie punktów bibliotecznych jest uciążliwe i nieopłacalne. Jak że się więc tak dzieje, że w całym kraju obserwujemy ich trend spadkowy, zaś w Gorzowskim — rozwojowy?

— Rzeczywiście, do tej pracy potrzebni są autentyczni społecznicy. Bo te wynagrodzenia są do dziś bardzo niskie, dla przykładu nagroda kwartalna za prowadzenie punktu, przy 60 czytelnikach, wynosi dwa tysiące złotych. To przecież nigdy nie rekompensuje ponoszonych wysiłków. Dobrze, że znajdują się ludzie, którzy książki miłują i chcą je upowszechniać. I takich właśnie bardzo cenimy, jak np. soltysa Michała Lipnickiego z Lubianki, który tym się zajmuje od czasu osiedlenia się, czyli od 1945 roku. Do tego sam bardzo ładnie recytuje, jest wzorem czytelnika. Trzeba też zauważyć, że wiele wysiłku w organizowanie nowych punktów włożyli kierownicy poszczególnych placówek bibliotecznych. I w rezultacie dzisiaj 40 proc. ogółu naszych czytelników korzysta właśnie z tych punktów. Tak więc każda z naszych placówek ma średnio 4 lub pięć takich punktów, a są i takie, które obsługują 14 i do tego jeszcze filie. Dalej — około 60 proc. punktów znajduje się w wiejskich klubach, wiele z nich w świetlicach lub domach prywatnych. Ich rozwojowi służą też konkursy, nagrody...

— Jak jest rozmieszczenie tych podstawowych ogniw upowszechniania książki?

— Dużych różnic w geografii kulturalnej województwa nie ma. Najlepiej — w byłym powiecie międzyrzeckim, gdzie są już bogate wielkopolskie tradycje. Tam biblioteka prowadzi 34 takie punkty. Bardzo dobra jest sieć w byłym powiecie międzyrzeckim, niezła jest z terenu działania słubickiej Biblioteki. Podobnie korzystnie przedstawia się sieć punktów, prowadzona przez biblioteki w Myśliborzu i Dębnie. Otóż, tam gdzie były kiedyś dobre biblioteki powiatowe, tam i punktów jest dużo. Odstają od tego obrazu rejon bibliotek w Sulęcinie, w Drezdence i Miedzichowie, które jest gminą niewielką.

— Filie biblioteczne spełniają również ważną rolę w upowszechnianiu książek...

— Oczywiście, choć w tym przypadku nasze osiągnięcia w województwie, wyliczając sam Gorzów, są nieco skromniejsze. W ub. roku otworzyliśmy tylko jedną filię w Dębnie, choć zakładaliśmy, że uruchomimy pięć. W tym roku uruchamiamy filię na Osiedlu Poznańskim w gminie Deszczno, w Kamieniu Wielkim gmina Witnica, na nowym osiedlu mieszkaniowym Grunwald w Choszczynie. Przy okazji rozbudowy świetlicy wiejskiej otworzymy filię w Drogominiu gmina Sulęcin. Łącznie dojdzie nam pięć filii. Do końca roku w Gorzowie i województwie będzie działać 135 bibliotecznych filii.

— Pomówmy o bibliotekach miejskich i miejsko-gminnych. Jak pracują, jakie mają warunki?

— Z pewnością najlepszą bazę mają Słubice. Pracą Biblioteki kieruje aktorka Maria Chylińska. Bardzo dobre warunki pracy ma międzyrzecka Biblioteka. Kieruje nią Hanna Koryśko, ponad 30 lat pracującą w tym zawodzie. Niezłe warunki ma Biblioteka w Myśliborzu, mieszcząca się w zabytkowym budynku, z czego, oczywiście, wynikają również pewne kłopoty. No, i pozostało nam Choszczno, gdzie także nie ma na narzekanie na warunki pracy. W Dębnie, po adaptacji pomieszczeń powstana również niezłe warunki. Jeśli chodzi o Sulęcin, to obecnie trwają prace projektowe nowego budynku biblioteki. Dość dobre warunki są w Kostrzynie, Drezdence. Trwa budowa nowej biblioteki w Strzelcach Krajeńskich. W ub.

roku otworzyliśmy nową, bardzo ładną Bibliotekę w Reczu. Trwają prace przy budowie bibliotek w Drownie, Bogdanowie, Dobiegniewie. A więc w województwie dzieje się sporo, nie tylko są to adaptacje ale i budowy nowych obiektów bibliotecznych. To wszystko jednak nie oznacza, że tam gdzie jest dobra baza, tylko tam rozwija się czytelnictwo. Jest przecież i tak, że czytelników mamy stosunkowo bardzo dużo w tych rejonach, w których biblioteki wcale nie mają luksusowych pomieszczeń. Choć z pewnością to dobre warunki do terminu rozwoju czytelnictwa.

— Proszę o przykłady.

— Najniższe czytelnictwo notujemy w Santoku, a to dlatego, że mamy tam

plastyczna, i — filię książki mówionej, o której już wspominałem. W gorzowskim punkcie korzysta z naszej oferty około tysiąca niewidomych.

— Co poprawi kondycję gorzowskiego bibliotekarstwa?

— Na osiedlu Malyszyn otworzymy nową filię wraz z czytelnią. Ponadto do końca roku uruchomimy dużą filię na 30-tysięcznym osiedlu Zacisze. A przecież buduje się nowe osiedle Górczyn, gdzie będzie też potrzebna placówka biblioteczna. Już w 1983 roku mieliśmy otrzymać pomieszczenia obok księgarni. Ale tempo budowy jest bardzo ślimacze. Nie mamy swojej placówki na osiedlu Piaski, nie mamy dobrych warunków do pracy na osiedlu Staszica — sypialni Gorzowa. Osiedle Dolinki przy Stilonie ma tylko jedną placówkę, to za mało...

## Książki jak witaminy



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

bardzo szczupłą bazę, a gmina ma wiele wsi, rozrzuconych wzdłuż Noteci. Ich mieszkańcy mają utrudniony dostęp do książek. Podobnie jest w Krzeszowie czy Słonku, ale tam jest słaba baza naszych placówek.

— W propagowaniu czytelnictwa coraz istotniejszą rolę odgrywają nowoczesne, techniczne środki. Jak jest w tym względzie w Gorzowskim?

— Z tym jest najgorzej. Albowiem o ile starczy pieniędzy na wyposażenie placówek na sposób dość tradycyjny, to na inne cele już brakuje funduszy. Ale i tych nowoczesnych wyposażań nie ma na rynku. Ale, podobnie jak w całym kraju, wszystkie nasze biblioteki oferują czytelnikom swobodny dostęp do polek. We wszystkich większych bibliotekach są osobno oddziały dla dzieci i osobno — czytelnie dla dorosłych. Natomiast jeśli chodzi o czytelnie muzyczne lub dźwiękowe, to przygotowujemy taką w Dębnie. Mamy ponadto 22 punkty tzw. książki mówionej, przeznaczone dla niewidomych. Kasety z nagraniami dostarczamy z Gorzowa. Ze zbiorów specjalnych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Dodam, że biblioteka z gorzowskiego działu dla niewidomych, Elżbieta Koryzna-Dygas, otrzymała nagrodę Gorzowskiego Towarzystwa Kultury...

— Skoro już mowa o Gorzowie, to może spróbujmy określić sytuację bibliotekarstwa w tym mieście? W ostatnich latach powstały nowe osiedla. Czy mają one swoje biblioteki?

— W Gorzowie mamy chyba sytuację najtrudniejszą. Ciężko jest w samej Wojewódzkiej Bibliotece, gdzie ułożone były do niedawna dwie nasze najważniejsze agendy: wypożyczalnia głów (na ponad 3 tys. czytelników) i czytelnia główna. Mamy w mieście 15 filii, w tym tylko dwie zajmują nowe funkcjonalne pomieszczenia. Inne mieszczą się w dzierżawionych pomieszczeniach. Ponadto dysponujemy jeszcze filią gro madzącą zbiory naukowe. Jest to placówka w adaptowanej dla tych celów willi, pracująca głównie dla ludzi nauki. Ale — z kolei jest bez telefonu. I jest tam już też ciasno. Mamy także dział zbiorów specjalnych, dysponujący dwoma agendami: zbiorów audiowizualnych przy ul. Koszyńców Gdynskich, gdzie są czytelnie muzyczna i

Nie mamy w mieście żadnych magazynów do przechowywania książek. I wreszcie — sprawa siedziby Wojewódzkiej Biblioteki. I mieszczącej się w niej czytelnia oraz wypożyczalnia. Mamy przecież w samym mieście około 24 tysięcy czytelników, czyli co piąty gorzowianin korzysta z naszych wypożyczalni, więc niezbędna jest większa ilość filii.

— Otwieracie niebawem nową, piękną placówkę biblioteczną, mieszczącą się przy ul. Sikorskiego. Ale zarazem wiadomo, że budynek będący obecnie siedzibą Wojewódzkiej Biblioteki będzie wyburzony w związku z planem zagospodarowania miasta...

— Przeniesiemy tam zbiory z ul. Łokietka. Choć jest to decyzja mocno spóźniona. Ale to doraźne rozwiązanie sprawy, za co i tak jesteśmy bardzo wdzięczni prezydentowi miasta Krzysztofowi Spychajowi. Skorzysta przede wszystkim na tym czytelnik, który przy ul. Sikorskiego będzie mógł korzystać z wypożyczalni, osobnej czytelnia książek, osobnej czytelnia czasopism, osobnej czytelnia regionalnej i dużego działu informacyjnego. Ponadto przeniesiemy tam część starodruków i urządzimy coś w rodzaju kabineralnej czytelnia dla osób pracujących naukowo. Sam budynek jest bardzo efektywny i funkcjonalny. W przyszłości urządzimy małą galerię plastyki.

— Remont i wyposażenie tego budynku — to wysokie nakłady finansowe?

— Pieniądze uzyskaliśmy z Funduszu Narodowej Rady Kultury, zaś remont rozpoczęliśmy w sierpniu ub. roku. Całość będzie kosztować ponad 30 milionów złotych. Oryginalny wystrój, wiele starożytności zachowanie stylu, a także — rekonstrukcja całego budynku, to wszystko przecież kosztuje. Dodam, że Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy w Zielonej Górze przekazał milion złotych, dzięki temu dokonujemy renowacji odkrytych podczas remontu fresków. Jednocześnie pragnę dodać, staraliśmy się o duży obiekt na potrzeby biblioteki, po siedzibie „Cezasu” przy ul. Warszawskiej. Ale to osobne, obszerne zagadnienie...

— Tymczasem więc już niebawem za prazsmą w pańskim imieniu do nowej, pięknej siedziby Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie, dziękując zarazem za rozmowę.

Zdzisław Morawski

## Sprawozdanie z rozbiórki

Rozbierali dwaj komórki — myśl na ośce!  
Za mým oknem w biały dzień  
Rozprawiali naukowo do południa:  
— Popatrz chociażby na łom  
Jaki on jest łomowaty  
Jak pies pieski, a mur ścienny  
Aż zapatrzyć się weń można i zadumać  
Jak nam mądrze wymyśliły inżynierzy  
Rajcy nasi — dyrektorzy, sekretarze  
Ze ja w łom mój mogę patrzeć dzionek cały  
Jako w chmurę  
W kwiatek wiosną  
I rozważać, co jest w łomie żelaznego  
Co ciężkiego, hutniczego  
Łomliwego  
Co jest w nim ideowego

Zaczem odzew przygotować fabularny  
Do zapisu w protokołach i uchwałach  
Ze w mým łomie jest idea  
Rozkruszania starych mitów, rozwalania cegieł prawdy  
Iż łom jako narzędź zwykły  
Służy do robienia gruzu

Łom jest długi jak ziewanie  
I spoisty jak myślenie o łamaniu

## Obuwie widziane od spodu

Wzorem posła Rejtana może u drzwi legnąć  
I patrzeć na buty jak przechodzą człowieka  
Może nogi policzyć  
Ponazywać obcasy:

— Pierwszy należy do małego Jana  
Co fleki nadkłada aby się podwyższyć  
On najzwawiej ruszy leżącego przesadzić  
I zawoła tenorem — Oddałem głos pierwszy

— Ten szeroki to płatusz  
Jako człapak prawą na pole nastąpi  
Lewą po żebrach pociągnie, a westchnie  
I tryumfalnie zapatrzy się w zwierzętność

— Podłużny to prawie język mrówkojada  
Zgrabnie przechodzi jak zawsze przemawia  
Z prawicą na sercu  
Z lewicą u czoła  
Prawdziwy harcownik w retorycznym obwodzie

— Czwartą ma zęza  
Nosi go zawsze człowiek krzywochodny  
Nigdy się nie jaka Z pamięci głosuje  
Zapewne but lewy ma ścięty w lewo

Za nimi kompania deputatów rady  
Obuta porządnie  
Zdrowa nad przeszkodą  
Cały dach z zelówek wiszących nad progiem

## Pieśń z raju Belzebuba

Prąd w miedzi jest rudy  
Ryż są szatany  
— śpiewają pieśniarki przebrane za wiedźmy —  
W piorunach strzelają  
Na niebie powietrze układają w tęczę  
A tęczę, kochani, są to piosenek miłosne zagaje

Śpiewają pieśniarki Prąd nam uszy tyka  
I wiercą w mózgu słowa strzygi  
Ze szatan znowu świat za nos prowadzi  
— kichaj zwarcie prądokradzie —  
Gdzieś w Detroit bandytec  
Bandyte na krześle już smarzą

Śpiewają czarce, że na autostradzie  
Samochód gaśnie na skinienie diabła  
Wyjęty z maszyny prąd wraz ryby tłucze  
Po świnie następny do bicia jest człowiek  
Upiór pragnie ciała na upiorny strudel

Czy dobro powróci?  
Kto wstrzyma Aidesa z kraju Belzebuba?  
Jakie przeciw niemu bracie przetrwały?  
— zawoła pieśniarki jak gdyby w porządku —  
Podobno zły nie ma dostępu do wróbla  
W świergocie ptasim jest nadzieja ludzi



Rys.: L.H.



Gdy nadejdzie zmierzch życia, człowiek z pracownika zmienia się w emeryta. Zmierzchnięcie nie zawsze nadchodzi równocześnie z granicą wieku. Czasem o wiele później i wtedy pracownik emerytem zostać nie chce. Czasem wcześniej niż trzeba — w postaci zniechęcenia, zniechęcenia i poczucia małej przydatności. W ostatnich latach przechodzenie we wcześniejszy stan spoczynku bywa także kalkulacją.

Jednak otwarcie tamy na wcześniejsze emerytury i stosunkowo łatwo osiągalne renty, spowodowało niekorzystne zmiany w strukturze naszego społeczeństwa. Przybyło — i nadal nadmierne przybywa ludzi, których oficjalnym środkiem utrzymania jest zasiłek ZUS. Ubywa doświadczonych fachowców w wielu dziedzinach. Zanikają zawody.

W to miejsce rosną kłopotliwe handele: bułki z pieczarką, pietruszką, parę ciuchów. A nad budkami i kioskami rozpostiera się coraz cięsza siatka rozmaitych spółek i prywatnych przedsiębiorstw, nieraz dołączając się do siatki państwa, które niedawno jeszcze, w tej samej epoce uznawane były za pryncypialne, a powątpiewanie w nie potępiano jako rewizjonizm. Ale to już oddzielny temat. Zarówno w budkach jak w większych firmach, mają swój udział zdrowi renciści i młodzi emeryci, podopieczni ZUS.

Znam też takiego emeryta, który po 25 latach pracy na eksponowanym stanowisku, pobiera świadczenie w wysokości ponad 70 tys. zł. Ponieważ wykonywał zawód tzw. deficytowy, przepisy pozwalają mu pracować w pełnym wymiarze godzin. Drugie 70 tys. zł otrzymuje więc w swojej firmie, plus kilka należnych mu dodatków za wykonywanie prac nadobowiązkowych. Można się w Polsce urządzić? Oczywiście, że można.

Wszystko się zmienia — i tak być powinno, gdy do drzwi puka XXI wiek. Jednak na pewne zmiany trzeba spojrzeć przytomnie. Do takich należy właśnie ta karykaturalna zmiana struktury społeczeństwa.

Problem ogromniejszy. Dziś co piąty mieszkaniec województwa zielonogórskiego, będący w wieku produkcyjnym, jest na garnuszku ZUS. Jutro zamienimy się w zbiorowisko ludzi poszkodowanych na zdrowiu i pozostających na zasłużonym wypoczynku!

Czy zawsze zasłużonym? Z pewnością bardzo wielu ludzi do zaprzestania pracy zmusza zły stan zdrowia. Tempo życia jest duże. Przychodzi chwila, że chcąc dalej żyć, trzeba zwolnić biegi. Szerzą się choroby związane z nadciśnieniem, z tym krążeniem, wysiłkiem nerwowym.

Starzy ludzie mawiają, że kto dobrze pracował przez całe życie i pracę kochał, ten nie rozstaje się z nią łatwo, nawet będąc słabym fizycznie. Liczbę emerytów-wczesniaków i rencistów nabijają więc nie ci, którzy i przepracowali, ale — poza kalkulacjami — głównie symulanci, nieroby i pijacy. Znam kilkanaście adresów melin w Zielonej Górze, a każdy milicjant dzielnicowy może wymienić kilkanaście nazwisk alkoholików, awanturników, prostytutek. Wszyscy oni są podopiecznymi ZUS.

Dyr. Lalko mówi językiem ZUS: „my pracujemy na aktach”. Znaczy to, że chcąc uzyskać w ZUS jakiegokolwiek świadczenie, trzeba przedstawić zaświadczenie. Nic na piękne oczy. Wszystko musi być na papierze i z pieczątką. Skrupulatność taka obowiązuje, gdy chodzi o pieniądze.

Tymczasem zdarzają się petenci bez dokumentów. Proszą o przyznanie emerytury, a nie posiadają nawet świstka, który by stwierdzał, że gdzieś pracowali.

Do prowadzenia dokumentacji personalnej obowiązany jest każdy zakład pracy. Są zakłady, które takiej dokumentacji nie posiadają. Np. większość spółdzielni produkcyjnych.

Akta personalne w zakładach, zdaniem urzędników ZUS, utrzymywane są niedbale. Wszędzie panuje większy lub mniejszy bałagan, który ujawnia się dopiero wtedy, gdy któryś z pracowników przechodzi na emeryturę.

Przed laty były stanowiska „personalnych” i „kadrowych”. Potem rozmyły się w działach zwanych „usługami pracowniczymi”. Sprawy personalne są teraz piątym kołem u wozu. Dokumenty, nawet te podstawowe, po prostu giną. Gdy czasem staje się potrzebna informacja sprzed lat, niczego nie można się dokopać w zakładowych archiwach. Brakuje urzędników wyspecjalizowanych w prowadzeniu spraw kadrowych. Archiwisci z zamykaniem już nie istnieją.

W tej sytuacji wiele osób ubiega się o emeryturę, w oparciu o oświadczenia świadków. Dowodami bywają też czasem stare, cudem przetrwałe listy płacy, listy obecności, legitymacje służbowe. Czasem ktoś zapewnia, że np. pracował w lesie i nawet znajduje ludzi, którzy to potwierdzają. Mimo to ustalenie okresu pracy nie jest łatwe. Stąd wniosek, abyśmy sami przechowywali starannie świadectwa pracy. Mogą się przydać.

Kierowniczka działu ewidencji Teresa Biernacka wskazuje na bruchate teckie z aktami. Jest ich coraz więcej. Gdyby ułożyć je w stosy jeden przy drugim, z pewnością zasłoniłyby obydwa wieżowce, w których znajdują się zielonogórski ZUS. Nie mieszczą się zresztą tam, i te starsze odesyłane są stopniowo do składnicy tzw. akt nieczynnych, przy ulicy Wandy.

Dział ewidencji jest miejscem pierwszego kontaktu interesanta z ZUS-em. Tu odpowiada się na pierwsze pytanie,

czasem też na drugie, trzecie i czwarte. Tu pierwsze czy wypłakują wdowy i sieroty w czerni. Tu wieszczane są pierwsze kiłtnie o spadku.

Tu wreszcie wysłuchuje się takich opowieści, że — jak mówi p. Teresa — gdyby włączyć magnetofon, a potem spisać nagranie, wyszłoby z tego niezła książka. O Polakach z końca XX wieku. O niełatwym czasie, w którym żyjemy. O dziadkach krzywdzonych przez wnuki, rodzicach — przez dzieci, dziadkach — przez rodziców. O niesprawiedliwych zwierzeniach, niewiernych mężach i kochankach. O wszystkim, co luźkie. Przez babiniec, jakim jest dział

Następna sprawa. Ona rocznik 1950, on o rok młodszy i sześcioro dzieci: najstarsze — szesnaście lat, najmłodsze pięć. On odszedł i na dzieci płacić nie chce. Jej zarobek miesięczny wynosi 12 tys. zł. Sytuacja jest dramatyczna. W 1983 roku sąd zasądził bardzo niskie alimenty: w wysokości 800 zł na każde dziecko. Pieniądże te ZUS ściąga od tatusia za pośrednictwem komornika. Kobieta jest słaba, niezdarna. Pyta z płaczem, co ma robić, by zyskać od męża trochę więcej pieniędzy?

W zielonogórskim ZUS-ie zarejestrowanych jest dwa tysiące takich „dobrych” tatusiów. Jest też kilka „dobrych”

alimentacyjnych jesteśmy z Turcją dogadani. Mimo to nasz wyrok sądowy jest tam respektowany wówczas, gdy mężczyzna przyznaje się do ojcostwa, a tak nie jest w tym przypadku. Matka zostawiła chłopca swym rodzicom i wyjechała gdzieś, szukać szczęścia. — Proszę pani, czy ja dostanę te alimenty? — zapytał mały, stając przed biurkiem p. Eleonory.

Orzeczenie sądu opiewa na dwa tysiące miesięcznie. Obie panie dziwią się czasem sądom. Dlaczego suma jest taka niska? Dziadkowie wychowujący chłopca utrzymują go z niewielkiej emerytu-

Jeszcze jeden przykład. Irena W. urodzona w 1953 roku, w 1982 roku przeszła na rentę inwalidzką III grupy i otrzymała 5.400 zł. W styczniu 1983 roku rentą jej wyniosła 5.600 zł, w marcu 1983 roku 6.700 zł, a we wrześniu 1986 roku 8.200 zł. Dokładnie w rok później suma urosła do 9.580 zł. Od marca br. Irena W. pobiera z ZUS 17.130 zł, wraz z dodatkami osłonowymi. Zasiłek na dziecko w tym czasie zwiększył się z 350 zł do 1.300 zł.

Milniemy i smutniemy, bo pośród tych kartotek wypełnionych cyferkami, jawi się nam szara rzeczywistość. Jacykolwiek są emeryci i renciści — młodzi, starzy, zdrowi, chorzy i z jakiegokolwiek powodu znaleźli się na dzisiejszym statusie, większość spośród nich z garnuszka ZUS do syta się nie naje.

Świadczenia są żenująco niskie. Nie pozwalają często na zaspokajanie potrzeb najkonieczniejszych. Po latach pracy należałoby żyć w spokoju i dostatku. Nie martwić się o nic, tylko realizować zaległe marzenia z całego życia, których spełnić nie było kiedy. Wycieczki zagraniczne, teatr, jakieś hobby.

Niestety. Wszystko to zamiast przybliżyć, oddala się coraz bardziej od emeryta i rencisty, zwłaszcza, gdy oczy już nie te, i nie to zdrowie. Większość podopiecznych ZUS z trudem wiąże koniec z końcem. Taka jest prawda.

Można w tym miejscu znaleźć odpowiedź na pytanie, czy ZUS daje się kochać? Zdaniem pani Danuty Wiśniewskiej — kierowniczki referatu organizacyjnego ZUS-u, choć stara się jak może i tak ludzie nie kochają. Więcej odiera próśb i pretensji, niż podziękowań.

Każdego ranka poczta przynosi mnóstwo listów, w nich dokumenty, wnioski, zdjęcia do legitymacji, pytania i prośby. O co? Generalnie o jedno. O podwyżkę świadczeń. Ludzie masowo skarżą się na coraz wyższe ceny żywności i rosnące koszty utrzymania domu. Listy takie nasilają się po każdorazowym ruchu cen na rynku. Zwiększa się wtedy też kolejka do ZUS.

Jest ZUS najpoważniejszym klientem poczty. Jak odbiera, tak samo wysyła codziennie masę korespondencji. To, co działo się 19 i 20 lutego br., to już szczyt! W ciągu tych dwóch dni wysłano pocztą 121 tysięcy przekazów pieniężnych z dodatkami osłonowymi!

Każdorazowa podwyżka świadczeń, to dla urzędników ZUS koniec świata. Wzrósł okres pracy na termin, odczuwa coraz 270-osobowa załoga. A są działy, z których dosłownie nie ma czasu wyjść, bo nie ma, ani napić się kawy.

Pani Teresa Biernacka, która uważa się za dziecko ZUS, gdyż pracuje w tej instytucji od ukończenia szkoły, a minęło od tego czasu już paręnaście lat, prowadzi dziennik. Zaczyna się on zdaniem: „Jestem urzędniczką ZUS, mam kubek, łyczek, blurko i strasznie się boję pana Bronka...”. Pan Bronko, pierwszy kierownik p. Teresy — a działo się to jeszcze w Warszawie, był surowym pedantem.

Pani Teresa pisze swój dziennik do dziś. O sobie, koleżankach, interesantach. Czy wytrwa do czasu, gdy z pracownika ZUS, sama zamieni się w emerytkę?

Halina Anśka



Z garnuszka ZUS nie każdy się naje...

ewidencji, lecz czasem ciężkie westchnienie: jakże dużo jest wśród ludzi zawiści, nieprawości i krzywd!

Na każdym biurku popielniczka i extra-mocne. Praca jest nerwowa. Trzeba wrażliwości, by wczuć się w ludzkie sprawy. Zarazem siły psychiczne, by wszystko to, wysłuchawszy, umieć rozważyć i znad sterty papierów, między jednym a drugim telefonem, udzielić właściwej rady i wskazówki.

Przy biurkach dwadzieścia par. Wprawdzie w zielonogórskim ZUS-ie też woda mężczyźni: dyrektor naczelny Ryszard Bąk z zastępcami Wincentym Lalko i Stanisławem Ostrogą. Ale za to w centrali w Warszawie, po odejściu sławnego z częstych występów w telewizji prezesa Sekuly, zapanowały babskie rządy. Sprawy je przez Tarasińską.

To właśnie tylko w jej gestii leży załatwianie emerytur w przypadku, gdy człowiek osiągnął przepisowy wiek, ale nie może udokumentować przepisowego okresu pracy. Podpis pani prezesa figuruje również na listach gratulacyjnych do statulików.

W województwie zielonogórskim żyje piętnaście osób, które przekroczyły setny rok życia. Każda z nich, zgodnie z zarządzeniem, które weszło w życie na początku marca br., otrzymała wysoki dodatek do emerytury. W sumie każdy zielonogórski statulek otrzymuje co miesiąc z ZUS 45 tys. zł, niezależnie od tego, czy wypracował sobie emeryturę, czy nie.

Klientami ZUS są nie tylko emeryci i renciści. Zmieniam więc na chwilę temat i wchodzę do działu alimentacji. Urzęduje tu kierowniczka p. Eleonora Ignaszak, z p. Marią Gusztaf, obydwie długoletnie pracownice ZUS.

Jest też interesantka. Szczupła, czarowniśka, nerwowa. Zniszczone ręce, skromny strój. Maż przed dwoma laty wyjechał na „saksy”. Zapomniał o pozostawionej w Zielonej Górze żonie i dzieciach. Pamięta o swojej matce i na jej konto przysyła pieniądze w obecnej walucie. Alimenty, wysokie zresztą, regularnie płaci teściowa. — Ale czyż jest to dostateczna rekompensata za znieruchomienie życia? — pyta kobieta. Domaga się, by ZUS przeszkodził teściowej w jej wyjeździe do syna. Skoro nie chce on widzieć żony i dzieci, niech nie widzi również własnej matki.

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

mamus. Jak np. pani S.K. urodzona w 1953 roku, która wyjechała za granicę, zostawiwszy rodzicom trzyletnie dziecko. Alimenty w kwocie dwóch tys. zł, otrzymują z ZUS dziadkowie.

Ktoregoś dnia stanął w progu młody mężczyzna z małym dzieckiem na rękach. Został porzucony przez żonę, która wyjechała w nieznanym kierunku. Mieszka w hotelu robotniczym. Nie ma nikogo bliskiego, komu mógłby dziecko powierzyć. Chce je wychować sam. Zarabia niewiele. Pech jednak chciał, że w przeliczeniu wypadło mu na głowę trochę więcej, niż przepisowe 13 tysięcy. Panie bardzo się przejęły. Liczyły jeszcze raz — i jeszcze. Ale daremnie. Samotny ojciec z dzieckiem nie zakwalifikował się pod skrzydła ZUS.

Fundusz alimentacyjny ZUS jest zbawienną pomocą dla matek, ojców i dziadków, wychowujących samotnie dzieci. Dla uzyskania świadczenia potrzebne są dwa warunki! Pierwszy: gdy osoba odmatrująca ponosiłaby koszty utrzymania dziecka przebywającego w kraju bądź w nieustalonym miejscu w kraju i niemożliwe jest wyekwipowanie od niej pieniędzy drogą normalną — i drugi: gdy dochody osoby utrzymującej dziecko nie przekraczają 13 tys. zł na głowę. Natomiast górna granica alimentów wypłacanych przez ZUS wynosi 6 tys. zł.

Część pieniędzy ZUS ściąga przez komorników. Ważne jednak, że, czy ściąganie je czy nie, alimenty wysyła regularnie. W pierwszym kwartale br. udało się odebrać 80 procent zadłużen od tych, którzy uchylają się od płacenia. Czasem nie jest tu przeszkodą nawet granica, bo wiem między wieloma krajami istnieje w tym przedmiocie porozumienie. Nie tylko bowiem u nas zdarzają się pozostałości po romansach i lekkomyślnie zawieranych związkach małżeńskich z cudzoziemcami.

Mieszkanca S. została bez środków do życia, gdy maż zostawił ją z trójką dzieci i wyjechał na zawsze do rodzinnych Indii. Akurat z Indiami porozumienia Polska nie ma. Sąd zasądził alimenty i ZUS je wypłaca, wiedząc, że egzotyczny tatulus tych pieniędzy raczej już nie zwróci.

W L. wychowuje się z dziadków kilkuletni już dziś chłopiec, którego czarne włosy, oczy i smagła skóra zdradzają pochodzenie ojca. Jest nim Turek mieszkający na Zachodzie. W sprawach

## Terenowe Koło Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury oraz Miejski Międzyzakładowy Dom Kultury w Kostrzynie ogłaszają Konkurs Literacki na

— zestaw 3-5 wierszy nie publikowanych i nie nagradzanych do chwili ogłoszenia wyników konkursu.

Do udziału zapraszamy twórców nieprofesjonalnych, zamieszkałych na terenie Ziemi Północnych i Zachodnich.

Tematyka utworów dowolna, lecz mile będzie widziane uwzględnienie historii i dnia dzisiejszego tych ziem i losów zamieszkujących je ludzi.

Prace w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem w zaklejonej kopercie, oznaczonej tym samym godłem oraz nazwisko, imię i adres autora, należy przesłać w terminie do 30 czerwca 1988 r. na adres:

MIEJSKI MIĘDZYAKŁADOWY DOM KULTURY  
ul. Piętnastolecia PL 22  
66-470 Kostrzyn n/O

z dopiskiem na kopercie „KONKURS”

Przewiduje się nagrody:

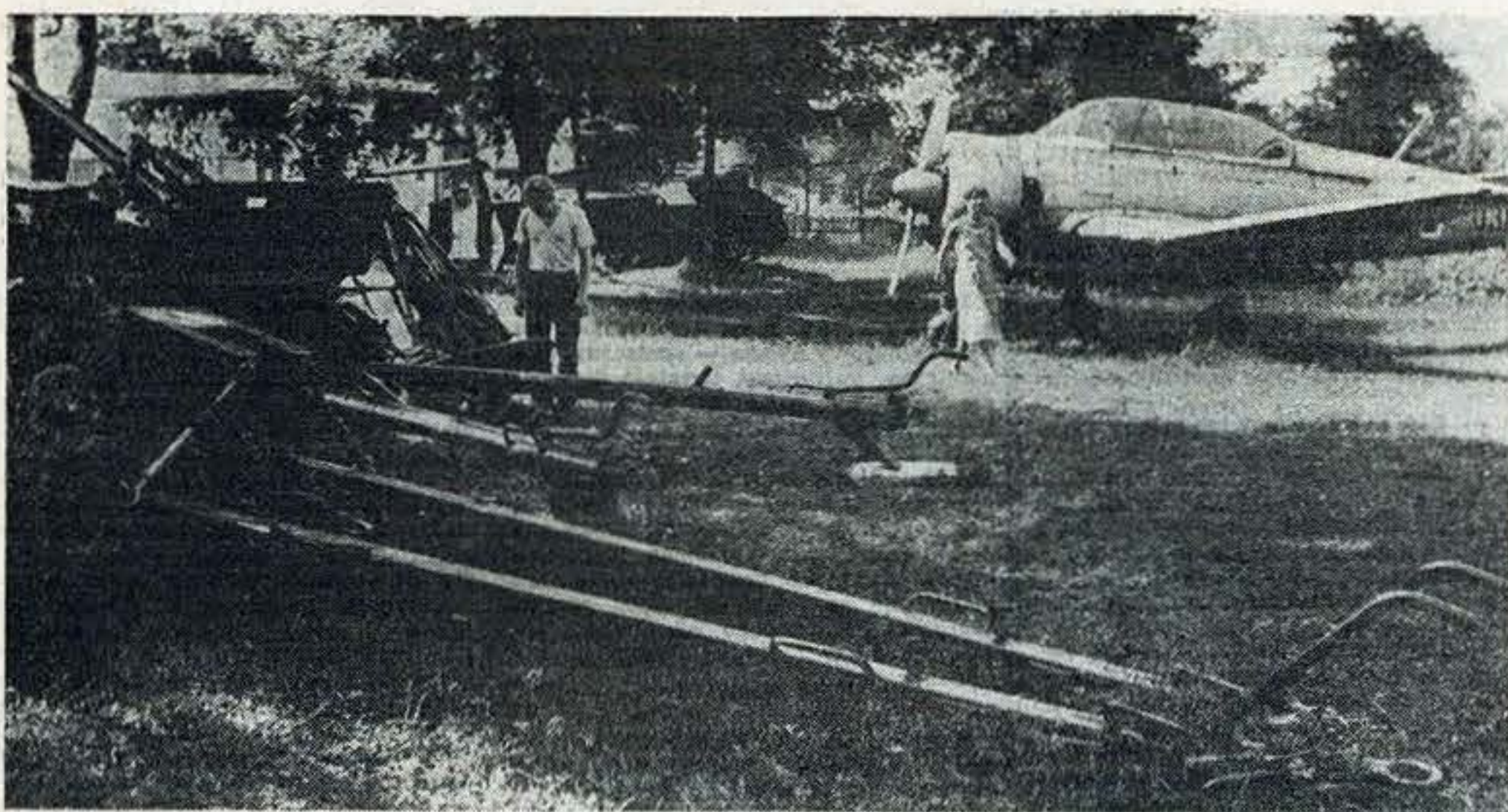
- I — 15.000 zł.
- II — 10.000 zł.
- III — 7.000 zł.

oraz trzy wyróżnienia po 4.000 zł.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród. O miejscu i terminie wręczenia nagród zawiadomimy laureatów po rozstrzygnięciu konkursu.

K-2899





Muzeum Wojska Polskiego w Drzonowie

Fot.: CZESŁAW ŁUNIEWICZ

Kontrywiad polski zanotował na swoim koncie wiele sukcesów w walce z agentami zachodnich służb specjalnych. Jedną z większych operacji naszego kontrywiadu w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych była neutralizacja ośrodka szpiegowskiego, z siedzibą w Bergu koło Monachium.

Do działalności szpiegowskiej przeciwko Polsce Ludowej wciągnięta była także powojenna emigracja polska. Prezydent USA, D. Eisenhower oficjalnie podejmował go, że Ameryka nie ustanie w swym dążeniu do „odzyskania wolności dla Polski”. Tego typu stwierdzenia przywódców Zachodu miały i mają po dziś dzień charakter spektakularny. Po lacy — twierdził pewien emigracyjny publicysta — zawsze przeceniają znaczenie gestów, wydarzeń, jakichś manifestacji zewnętrznych. General Anders, podobnie jak i inni przywódcy polskiej emigracji, zapewne nie zdawał sobie sprawy, że jego wizyta w Stanach Zjednoczonych w okresie przedwyborczej kampanii prezydenckiej przyniosła głów nie korzyść amerykańskiej partii republikańskiej, a nie sprawie Polski.

W pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej tzw. rząd londyński

wywiadowej. Na początku 1950 r. zawarto umowę między szefami misji woj skowych stacjonujących na terenie RFN a emigracyjną Radą Polityczną w zakresie wymiany informacji o sytuacji społeczno-ekonomicznej w Polsce i pro wadzeniu akcji wywiadowczych.

Według zeznań Sojki złożonych przed Komisją powołaną przez Tymczasową Radę Jedności Narodowej „rządu londyńskiego”, we wrześniu 1950 r. podpisano umowę z partnerami zachodnimi o finansowaniu „akcji łączności z kra jem” i udzielaniu pomocy technicznej w tym zakresie. Umowa nie została spi sana, lecz zawarta ustnie. Zawierała ona zobowiązanie do współdziałania w wojnie psychologicznej przeciwko krajom so cjalistycznym, przekazywania informac ji z kraju, uruchomienia dywersyjnej stacji nadawczej, organizowania pomocy materialnej dla przeciwników reżimu ko munistycznego w Polsce. Zeznania in nych świadków znacznie rozszerzają wer sję powyższej umowy, nadając jej na stępujące brzmienie: „Rada Polityczna zobowiązuje się do: 1) współdziałania w prowadzeniu akcji zimnej wojny, 2) pod trzymywania w kraju ducha oporu, 3) rozbudowania w kraju sieci rezydentów i informatorów, 4) przygotowania w kra

nia znajomości przez kandydata sytuac ji w kraju, panujących tam stosunków i techniki ukrywania się. Kandydata na kuriera badano maszyną do wykrywa nia kłamstw (wariorafem), obserwowano jego zachowanie w okresie szkole nia i szkolono tak długo, aż opanował szczegóły swego zadania. Kurierzy przy bywający do Polski zaopatrywani byli w komplety dokumentów polskich i nie mieckich.

W 1952 r. zaniechano niemal całkowi cie posługiwanie się kurierami, a utrzy mywano łączność za pomocą „paczek specjalnych” i korespondencji. „Paczki specjalne” wysyłano do kraju pocztą, za wierając one obok przesyłek z wartości cią obywatela materiał tajny, zamieszczony w puskach z konserwami płynnymi. Puszki takie miały podwójne ścianki, pozwalające na umieszczenie materiału tajnego pomiędzy ścianką wewnętrzną i zewnętrzną, były one niemożliwe do przesłuszenia, a waga ich nie różniła się od wagi puszek zwykłych. System „paczek specjalnych” działał bez zarzu tu przeszło rok, wysłano ich w tym cza sie do kraju kilkadziesiąt. W wyniku przed sięwziętej operacyjno-sledczej organa bezpieczeństwa w Krakowie ustaliły spo soby przekazywania z ośrodka w Bergu pieniędzy, środków do kodowania utaj nionych materiałów, instrukcji wywiado wych itp. Podjęto decyzję o skrupu latym sprawdzaniu przesyłek nado chodzących z NRF Zakwestionowano kil kanastę przesyłek, zawierających pie niądze i instrukcje szpiegowskie. Wysłanie paczek do kraju odbywało się w ra mach „realnej pomocy” emigracji dla Polski. Jeśli wywiad amerykański prze kazal ośrodkowi w Bergu tysiące dolarów, to przede wszystkim w zamian za informacje o charakterze strategicznym, głównie z zakresu obronności kraju.

Trzecim sposobem utrzymywania łącz ności była korespondencja pocztowa. Li sty zawierające treść obojętną pisano szyframi z użyciem atramentów sym pa tycznych Atramenty i odczynniki prze syłano przez kurierów, bądź w paczkach, nasycając np. odczynnikami częste odzie ży. Do przesyłania obszernych wiadomo ści używano książek, które należało czy tać wykorzystując uprzednio przygoto wany szyfr. Sieć wysyłkowa i odbiorcza była rozległa, listy wysyłano z róż nych krajów, najwięcej z Anglii i Fran cji, przy czym obowiązywała zasada wy syłania listów z tego kraju, w którym adresat miał członków rodziny lub przy jaciół.

Od samego początku ośrodek w Bergu był infiltrowany przez polski kontrywiad. Nasi ludzie w Bergu byli dobrze zakonserwowani, czego najlepszym do wodem jest komunikat wydany przez Sojkę w dwa tygodnie po wycofaniu na szczyt współpracowników z gry i ujawnieniu niektórych jej szczegółów. Komu nista brzmiał następująco: „Dwoje Polaków, Jan Choma i Wanda Weber, którzy według twierdzenia radia warsza wskiego i prasy reżimowej zgłosili się na granicy i dobrowolnie oddali się w ręce strażników, zostali porwani przez agentów bezpieki w Zachodnich Niem czech w okresie świąt Bożego Narodze nia. Porwanie nastąpiło niemal równo cześnie, chociaż Choma i Weber znajdo wali się w różnych, oddalonych od siebie miejscowościach”. A jak wyglą dała prawda? Po podjęciu przez czynni ki polityczne decyzji o ujawnieniu prawdziwego oblicza Rady Politycznej i jej działaczy pozostało mało czasu na wyprawienie do Bergu naszych ludzi — Chomy i Weber. Dlatego też prowadzą cy sprawę oficer bezpieczeństwa natych miast udał się do Berlina i wywołał alarmowo spotkanie z Chomą, następ nie skontaktowano się z Weberową po lecając jej, aby w ciągu 20 minut sta wiła się na umówionym miejscu. Wkrót ce nasi agenci znaleźli się w samocho dzie oficera polskiego kontrywiadu i spokojnie wrócili do kraju.

Dzięki prowadzonej grze operacyjnej zdobyto dowody dotyczące powiązań ośrodków emigracyjnych z wywiadem amerykańskim i angielskim. Ujawniono i doprowadzono do likwidacji wiele nie legalnych grup szpiegowskich działają cych na terenie Polski. Została zlikwido wana grupa kurierów emigracyjnej Ra dy Politycznej. Ogółem w latach 1951—1953 aparat bezpieczeństwa zatrzymał 230 osób zaangażowanych w działalność szpiegowską na rzecz ośrodka w Bergu.

Wiosna '88

## MIOTŁA, GASNICA, MANDATEM

Halina Skarbek

Niedawno kraj obiegł krótki lecz wstrząsający opis zdarzenia, które miało miejsce w woj. skierniewickim. Pewien 77-letni rolnik starym zwyczajem wypalał łąkę na pastwisko. Ogień błyskawicznie rozszedł się i zaczął przetrzącać na pobliskie krzaki. Rolnik usiłował stłumić pożar, lecz zasłabł, upadł i spalił się.

Wypalanie łąki nie tylko grozi pożarem, ale też wywołaniem gleby. Ogień zabija mikroorganiz my i czyni ziemię bezużyteczną. Na pa leniskach wyrasta trawa sztywna, ostra i twarda, nieodpowiednia na paszę dla bydła. Może to skłonić rolników, by za przestali wypalanie pastwisk i rowów, skoro nie skutkują ostrzeżenia przeciw pożarowe.

Tymczasem sytuacja staje się coraz groźniejsza i konieczny jest alarm! Jak wynika z raportów straży pożar nych, w ciągu czterech pierwszych mie sięcy br. w woj. zielonogórskim spłonię ty lasy na obszarze 32 hektarów, z cze go 31 ha spaliło się tylko w okresie 15 kwietnia i 16 maja. W ogólnej liczbie 111 pożarów, które zdarzyły się w okresie od 1 stycznia do 27 kwietnia br., 69 przypadków, to pożary lasów! Straty sięgają 46 mln złotych!

Straże pożarne w woj. zielonogór skim interweniują przeciętnie 20 razy dziennie. W kwietniu br., w ciągu wspo mnianych piętnastu fatalnych dni, czę stość interwencji wzrosła, osiąga ją liczbę 349, co stanowi połowę prze ciętnej liczby interwencji w ciągu ro ku! Były w tym, co prawda, 33 alarmy fałszywe. Ale też była taka sobota — wraz z niedzielą, gdy straż pożarną wzywano aż 90 razy!

Jak mówi chorąży Waldemar Micha łowski z Wojewódzkiej Komendy Stra ży Pożarnej w Zielonej Górze, zawo dowi gasieście nie dali by sobie rady bez pomocy ochotników. Drużyny OSP w terenie spisują się dzielnie zarówno gdy chodzi o gaszenie pożarów, jak też zapobieganie im. Biorą udział w kon trolach, mających na celu usuwanie za grożeń. O ile mniej byłoby i strat i ile, gdyby każdy człowiek na każdym kro ku — po prostu nie igrał z ogniem! Większość pożarów bowiem powodują ludzie przez nieostrożność, bezzwłastość i lekceważenie niebezpieczeństwa.

Wojewódzka Komenda Straży Po żarnej przez podległe sobie je dnostki i przy pomocy Inspekcji Robotniczo - Chłopskiej, prowadzi in tensywne kontrole przeciwpożarowe. Oto relacja ze Sprotawy. Sprawdzono tam 18 obiektów publicznych — skle pów, szkół, restauracji itp. oraz 15 go spodarstw rolnych w pobliskich Siecie borycach i Dziugim. W 12 obiektach publicznych i trzech gospodarstwach stwierdzono zaniedbania urągające prze pisom.

Np. w barze PSS „Boiko” jest wadli wa instalacja elektryczna, bezpieczniki naprawione drutem i brakuje gaśnicy. Za te grzechy, nie jedynie zresztą, kie rownik baru ukarano mandatem. Ciekawe, że referent ochrony p.poż. w PSS „Społem” kilka dni wcześniej prze prowadzał kontrolę i nie ujawnił tych usterek.

Długa lista przeciwpożarowych prze winień dotyczy Biblioteki Publicznej w Sprotawie: prowizoryczna instalacja elektryczna, łatwopalny materiał na podłodze, książki i papiery stłoczone i rozrzucone tuż przy punktach świetl nych, zerwane ogniomniki itp. Jak wi dać, nikt tu nie wyciągnął wniosków z pożaru, który miał miejsce w bibliote ce w ub. roku.

Również negatywnie wypadła lustra cja Zakładu Usług Mechanicznych w Siecieborycach, gdzie stwierdzono m. in. zerwane ogniomniki i rozładowane gaśnice.

Ogółem w województwie zielonogór skim przeprowadzono około 2,5 tysiąca kontroli przeciwpożarowych. Wymierzo no 283 mandatów karnych na sumę 362 tys. zł, do kolegium powołało 13 wniosków, zaś trzy wyjątkowo drasty czne zaniedbania zgłoszono do proku ratora.

Trwają wzmożone kontrole anty alkoholowe. Skontrolowano 318 osób podejrzanych o nielegalny handel wódką, 134 osoby podejrzane o produkcję samogonu oraz 636 sklepów, barów i restauracji i 993 zakładów pra cy.

Jak podaje szef Wydziału Prewencji WUSW w Zielonej Górze mjr Franciszek Majewski, wszczęte zostały 83 do chodzenia, w tym 15 za wyrób bimbru, 14 za nielegalny handel alkoholem oraz 54 za związane ze spożywaniem alko holu chuligaństwa i bójki. Wśród 315 wniosków wystosowanych do kolegium, 166 dotyczy prowadzenia pojazdów w stanie nietrzeźwym, zaś w 52 przypad kach „bohaterami” są osoby nietrzeźwe w czasie pracy. Skontrolowano 35 litrów wódki, 77 litrów wina, 267 litrów zacieru, osiem i pół litrów bimbru oraz jedenaście aparatów do jego wytwarza nia.

Postępowanie, łamiące ustawę anty alkoholową, traktowane jest bezwzględ nie. Mieszkaniec Bożnowa koło Zaga nia, u którego podczas kontroli 25 mar ca br. stwierdzono aparaturę do pedze nia samogonu, ukarany został rokiem pozbawienia wolności, grzywną 40 tys. zł i kosztami sądowymi. W Nowej So-

li sąd wymierzył 44-letniemu obywatelowi karę 50 tys. zł grzywny za odsprze danie drugiej osobie butelki wódki. Grzywnę 200 tys. zł za nielegalny han del alkoholem zapłaci 79-letni mieszka niec Zagania.

Zespoły kontrolne lustrują miasta i wieś pod względem porządku i stanu sanitarnego, by potem sprą wdzić, czy ujawnione mankamenty zo stały usunięte. Wśród miejsc, w któ rych — jak informuje rzecznik prasowy Wojewody Zielonogórskiego Grze gorz Kula — panuje nieporządek, znaj dują się: Dolnośląskie Zakłady Odlewni cze w Zaganiu, Spółdzielnia Im. Bo hałtera Getta i sklep warzywny Władysława Grodzkiego w Zarach, skle py spożywcze GS w Bytnicy, Szczaw nie i Polupinie oraz zakład produkcji rolnej w Kruszynie koło Sulechowa.

Natomiast pochwały za porządek otrzymały: stółówka zakładów „Kromet” w Krośnie, dzielnia Maczyn w Zaganiu oraz w Zarach Zakłady Płyt Wórowych, Przedszkole przy ul. Armii Czerwonej i Dom Kultury przy ul. Wro clawskiej.

Na możliwości poprawy stanu sanitar nego w województwie zielonogór skim powinien wpłynąć fakt, iż w Ki sielinie pod Zieloną Górą, tamtejszy Państwowy Ośrodek Maszynowy produ kuje oczyszczalnie ścieków! Zdolności kisielińskich kontenerów wynoszą 150 m sześciennych na dobę!

Koszt jednej oczyszczalni wynosi 14 —15 mln zł, plus około 10 mln zł na obudowę. Suma duża, ale mimo to z pe wnością zważa się na kontrakt na co najmniej dwadzieścia oczyszczalni, które kisieliński POP jest w stanie wy produkować do końca br. Podobno dwa takie urządzenia niebawem znajdą się w Drzonowie.

Wzmaga się ruch na szosach, tak że w lasach i nad stawami, a wraz z nim — kłusownictwo. Nie znaczy to, że kłusownictwo dopuszcza ją się tylko turysty. Pisalam już kiedyś, że w woj. zielonogórskim są rejon, gdzie dom przy domu mieszkają, z dzie ciadami, specjalistami od zakładania rozmaitych zasadzek na lesne zwierzę ta.

Karne jest nawet samo posiadanie wnyków czy siatek na ryby. Podczas „Wiosny 88” znaleziono już 36 różnych potrawek na zwierzęta, a właściciele tych urządzeń odpowiadzą karnie. Wszczęte też zostały dwie sprawy za nielegalne posiadanie broni myśliw skiej.

Wobec kłusowników nie stosuje się żadnych ulg. W Łochowie parę dni te mu ziapani zostali na wnyki okazali dzik dwuletek, ważyący blisko sto kg. W Nivicy nielegalnie spuszczone wo dę w stawie hodowlany, należącym do PHR. Straty w pierwszym przypad ku oceniane są na 40 tys. zł, w drugim na 168 tys. zł.

Sprawy obu przestępstw odpowie dzą przed sądem. Pierwszemu grozi kara do trzech lat pozbawienia wolno ci oraz grzywna z trzykrotną nawiszką. Drugiemu, poza trzema latami „odsia dki”, grzywna z nawiszką pięciokrotną.

Te działania odbywają się w ra mach wielkiej ogólnopolskiej akc ji „Wiosenne porządki 88” z u działem organów administracji, MO, ORMO, Sanepidu, Straży Pożarnej, IRCH-y, organizacji społecznych, itd. Komitetowi Krajowemu przewodniczy generał Czesław Kiszczyk, zaś Woje wódzkiemu w Zielonej Górze wicewoje woda Jan Zięta.

Jak powiedział na konferencji praso wej zastępca komendanta WUSW w Zielonej Górze płk Stanisław Fornalik, akcja „Wiosna 88” nie polega tylko na sprzątaniu przy pomocy szczotki i ścier ki, ale na zmasowanych działaniach, zmierzających do usuwania wszelkich nieprawości, anomalii, usterek i braków, co w konsekwencji doprowadzi ma do odnowy naszego życia we wszy stkich dziedzinach.

Ludzie, którym leży na sercu ład, po rządki i dobra gospodarka, a których rzązą przypadki lekceważenia pracy, za sad i przepisów, nie powinni w tym okresie tylko patrzeć i narzekać na ist niejący stan. Przecież samym narzeka niem pogłębiamy jeszcze ten stan byle jakości, w jaki wpadliśmy!

Jeśli ktoś chce, by nam się lepiej ży ło, niech podniesie słuchawkę telefonu — i o zaobserwowanych zaniedbaniach poinformuje zespół kontrolny „Wiosny 88”. Nikt nie będzie żądał przedstawie nia się. Chodzi jednak o to, by informac ja była prawdziwa, a nie wynika ła z chęci tzw. podłożenia komuś świ ni.

Odwolujemy się tu do sprawiedliwo ści i sumienia każdego obywatela. Wszak wskazywanie palcem na nierze telność, nieuczciwość i złą pracę, po winno być rozumieć jako współudział w demokratycznym rządzeniu — miastem, województwem, krajem.

### Z dziejów polskiego kontrywiadu

## Nasi ludzie w Bergu

Jan Golec

ski, wykorzystując poparcie W. Brytanii, organizował różne akcje dywersyjne skierowane przeciwko komunistycznemu rzą dowi w Polsce. Wywierano presję na żołnierzy zamierzających powrócić do kraju. Wykorzystywano organizację nie dzynarodowe (UNRA) do akcji propa gandy lub innych przedsięwzięć skierowanych przeciwko repatriacji. Ak tywnym ośrodkiem dywersji stał się po II wojnie Korpus dowodzony przez gen. Andersa, stacjonujący we Włoszech. Po przeniesieniu do Anglii znaczna liczba byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych wstąpiła do Polskiego Korpusu Przy sposobienia i Rozmieszczenia, oczekując wybuchu nowego konfliktu światowego między Zachodem i Wschodem. W po łowie lat pięćdziesiątych gen. Anders wystąpił z propozycją utworzenia „Je gii polskiej”, która w sprzyjającej sy tuacji międzynarodowej miałaby wyzwo lić Polskę spod panowania komunistycz nego.

Liberalizacja kursu politycznego w Polsce nie była na ręce Zachodowi, któ remu chodziło o wzniecenie u nas fer mentu politycznego, nie dlatego, aby nam pomóc, lecz by skłócić nas ze Związ kiem Radzieckim — w myśl odwiecz nej zasady politycznej uznawanej przez brytyjską szkołę dyplomatyczną: aby z kimś lepiej się ułożyć, trzeba aby ten ktoś na własnym terenie miał jak naj więcej kłopotów.

Istotnym wydarzeniem, które pogłębi ło kryzys w łonie „rządu londyńskiego”, była afera w Bergu. Z referatu przed stawionego w marcu 1954 r. przez Ka zimierza Okulicza, generalnego inspek tora sił zbrojnych „rządu londyńskiego” wynikało, że już w połowie 1948 r. Ed ward Sojka, działacz Stronnictwa Na rodowego, prowadził pertraktacje z ko morką wywiadu amerykańskiego na te mat założenia na terenie Niemiec samo dzielnej, polskiej organizacji defensyw nej. W wyniku dalszej współpracy i włączenia kolejnych osób: Kazimierza Tychoty, Franciszka Białasa, Tadeusza Zawadzkiego-Zenczykowskiego, rozsze rzono zakres współdziałania z Ameryka nami. Utworzono dwie bazy na terenie Niemiec, jedną w Oerlinghausen, tzw. baza „Północ”, w strefie brytyjskiej, pod kierownictwem K. Tychoty i dru gą koło Monachium, w miejscowości Berg, kierowaną przez Włodzimierza Furke.

W 1949 r. w brytyjskiej strefie oku pacyjnej Niemiec prowadzono infiltrację osób przybywających do Polski pod ką tem wykorzystania ich do działalności

ju sieci stacji radionadawczych. W za mian za to druga strona zobowiązała się do dostarczenia funduszu na: 1) utrzy manie aparatu łączności z krajem, 2) rozbudowę i utrzymanie grup informacyj nych w kraju, 3) podtrzymywanie du cha oporu w kraju przez akcje ulotko we, afiszowe oraz zasilanie ludzi w kra ju środkami finansowymi 4) utrzyma nie centrów w Londynie i tzn. rządu emigracyjnego, 5) pomoc organizacjom podziemnym. Wysokość dotacji miała być ustalana przez obie strony na pod stawie uzgodnionego półrocznego bu dżetu.

Ośrodek szpiegowski w Bergu podpo rzadzany był wywiadowi amerykańskiemu. Placówka ta prowadziła kursy radiotelegrafistów, zajęcia dywersyjne o raz wywiadowe. Na kursach instru owa no przyszłych szpiegów i dywersan tów, jak mają posługiwać się materiała mi wybuchowymi, bronią palną, w jak i sposób prowadzić obserwację obiek tów wojskowych, zbierać informacje wy wiadowe itp. Szkolenie zawodowe pro wadzili Amerykanie. Dyrektorem ośrod ka w Bergu był płk Danielewicz, ps. „Kłos”. Kursy prowadzono w grupach 8-10 osobowych. Łączność z krajem u trzymywano za pomocą tzw. punktów informacyjnych, tworzonych w różnych częściach kraju i złożonych z jednej bądź najwyżej kilku osób. Pomiedzy punktami nie było, ze względu na bez pieczeństwo, żadnej łączności. Instrukcje wywiadowcze przesyłano za pośrednic twem kurierów, którzy przekazywali je pamięciowo. Kontakty z krajem odby wały się za pośrednictwem kurierów, „paczek specjalnych” i korespondencji. Nie było wypadków posługiwania się spadochroniarzami, z radia zaś skorzysta no nie tylko raz, po zniknięciu dwóch agen tów, w celu nadania hasel alarmowych.

W okresie od września 1950 r. do grudnia 1952 r. zorganizowano 33 wyprawy kurierskie, z czego 17 zakończy ły się fiaskiem. Odsłetek „wpadek” ku rierskich był zatem znaczny, świadczy ło to o dobrej pracy oficerów bezpie czeństwa.

Koszty przeciętnej wyprawy kurier skiej kształtowały się następująco. Utrzy manie szlaków kurierskich, łącznie z wynagrodzeniem dla 2—4 osób i zapłatą za meliny wynosiło 300—350 marek za chodniemieckich (60—100 dol.). Ku rier w okresie „wyczekiwania” i szko lenia pobierał 400 marek miesięcznie, od chwili zaś udania się w drogę aż do powrotu 200 dolarów miesięcznie. Dłu gość czasu szkolenia zależała od stop



Cały wielki świat: Strzebiński, Berlewi, Cezane, Malewicz, Mondrian, Van Gogh. Wybacz, że wymieniam jednym tchem różne postacie. Frapowało mnie i Grupę Krakowską — marzenie o przeobrażeniu, o wznoszeniu życia społecznego na wyższy poziom. Ludziliśmy się, że świat łatwo da się zmienić, że wszystko jest bardzo proste. Złudzenia. Niestety. Ale artysta powinien czasem również się ludzi.

— Ale wybierając taką czy inną barwę do swego obrazu, jednak się nie ludzisz?

— Staram się, by mój wybór artystyczny wynikał zawsze z przemyśleń. Byłby początek do końca mój. Sprawy. Cała kompozycja też. Trudno byłoby mi — chyba to jest niemożliwe — odczuć się bez myślenia. Barwy wychodzą z wnętrza. O nich precyzyjnie można myśleć. Czuję je. Smakować. Ale nie do końca zracjonalizować.

## POWAGA ŚWIATA

— Masz upodobanie do barw metafizycznych, głębokich, np. fioleto-ry, niebieskie, niekiedy zielone. Stosujesz tonację przyćmioną. Czy ten optymizm artystyczny, tak stonowany, jest naprawdę optymizmem?

— To jest dla mnie ważne zagadnienie. Ja kocham muzykę klasyczną: Chopina, Bacha, Beethovena i innych kompozytorów. Muzyka poważna na mnie wpływa niezwykle inspirująco. Słuchasz Bacha, to ci się zdaje, że istnieje Bóg. To jest rzecz poważna, to jest przecież muzyka absolutna. Muzyka nie na żart. Nie kabaret, ani satyra. Dążyłem za wszelką cenę do tego, aby w moich obrazach była powaga świata, powaga tego co i ja przeżywałem.

— Czyli, że malarstwo ma być refleksją, a nie ozdobnikiem?

— Tak. Ale od razu do tego się nie dochodzi. Kiedyś dużo malowałem z natury. Pejzaże, kwiaty. I doszedłem do wniosku, że to jest kopiowanie natury — lepsze lub gorsze. A mnie wydaje się, że trzeba w niej umieć widzieć to, co jest istotne. Dość do sedna. Zgłębić jej wnętrze.

— Twoje malarstwo jest akceptacją rzeczywistości. Wyraża pozytywny stosunek do świata. Jak się dochodzi do takiej postawy?

— Sprawa jest tego rodzaju, że trzeba umieć czasami wybrać to, co jest trudne. Ja kocham wolność. Wybieram wolność. Wolałbym żyć o czarnym chlebie, abym tylko mógł wykonywać to, co kocham, czyli: swój zawód. Nieraz pracowałem po szesnastu godzin. Nie tylko piłem wodę. Jeszcze przed wojną. Herbata była. Suchary były. I było wspaniale. Na wszelkie trudności jestem zahartowany. Staje się wolny i pocieszony, mimo różnych kłopotów, kiedy rodzi się we mnie jakaś twórcza myśl, kiedy mogę realizować swoje plany. To mnie umacnia. Mam po prostu swój świat, bez którego byłbym bezsilny.

— Czy niemożliwa jest twórczość w dobrobycie? Dla wielu jest on pewnego rodzaju niewolą...

— Różnie bywało z artystami. Na przykład Rubens miał doskonałe warunki. Picasso tylko w pierwszym okresie biedował. To musimy wiedzieć. Później stał się już człowiekiem bogatym. Artysta w każdych warunkach, jak i każdy człowiek, może się zatracić. Twórczość związana jest raczej z posiadaniem wrażliwości, która chroni nas przed psychiczną i moralną degradacją.

— Czy taka degradacja, związana niekiedy z buntem wobec wszelkich konwencji, nie może wskazać artyście nowej drogi?

— Możliwe jest wszystko. Są przykłady potwierdzające to regułę. Są też przykłady wskazujące na coś wręcz odwrotnego. Nie ma tu jasnej recepty. Najgorszy jest jednak bunt pozorowany, bunt będący tylko wynikiem mody. Bez cierpienia. Czy może być coś bardziej odpychającego? Sztuka to jest poważne zadanie i wymaga żelaznego wręcz przestrzegania reguł. A gdy brak wiedzy o tych regułach? To pozostaje tylko bezradność, którą trzeba czymś wypełnić. Francisco Goya uważał, że artysta musi mieć wyobraźnię, bo sam rozum nie nie stworzy. Ale wyobraźnia powinna być kierowana rozsądkiem. Jeśli nie towarzyszy jej refleksja, to tworzy potworność. Pewien francuski rzeźbiarz twierdzi, że dziwaczność i brutalność nigdy nie była siłą w sztuce. Dziś bardzo wielu błądzi. To jest smutny widok.

— Próbuja odnaleźć własny sens, własny sposób myślenia...

— Ja nie potępiam nikogo. Oni robią tzw. nową sztukę. Pokazują deski, zdechłe karpie, cuda różne. Ale to jest za ledwie jakiś pomysł i tego nie można nazywać sztuką. Trochę znam się na sztuce i mam prawo o tym mówić. Byłoby już tragicznie, gdybyśmy przed

wszystkim zaczęli padać na kolana. To jest gra, zabawa, bez określenia ogólniejszego sensu. Sztuka w ten sposób osłabia swoją siłę.

— Czy poprzez negację nie można dojść do jakichś odkryć?

— Każdy ma obowiązek poszukiwać własną drogą. Futurysty chcieli zniszczyć muzea. A sztuka istnieje razem z człowiekiem; w pieczarach, jaskiniach, na dzbanach, od tysięcy lat. I sztuki nie można zlikwidować, zniweczyć destrukcją. Nie można zniszczyć obrazu, bo to jest część duchowa ludzkości. Ta lepsza część. A bez niej co? Jeśli ktoś w Ameryce folią pokrywa całe góry, bo go stać na dziwactwo, to my mamy to samo powtarzać u siebie? A ponadto, jeśli cały dialog — sztuka musi być dialogiem — z odbiorcą sprowadza się tylko do frapowania, to nie ma co się dziwić, że ludzie odsuwają się od niej. Chodzi o dotarcie do czegoś wnętrza, które nie wytrzymuje brutalnych akcji. My wobec siebie też nie jesteśmy brutalni. Jedno musi pozostać niepodważalne — człowiek jako wartość a nie jako

— Trzeba jednak umieć i chcieć ten kosmos, to bogactwo ująć i przetransponować?

— Przede wszystkim trzeba pracować. Być dobrym obserwatorem. Ja nie maluję „na żywioł”. U mnie wszystko jest przemyślane. Czasem wywołuję za zamkniętymi powiekami takie kolory, których żaden chemik i inżynier by nie wymyślił. Staram się robić z tych kolorystycznych wizji szkice. Budować ogólną koncepcję. Utrwalam to, co przeżyłem, chociaż w zasadzie już nie powiniennem się tym „widzeniem” zajmować, bo ja już obraz swój przedtem ujrzałem.

— Kto był twoim duchowym mistrzem?

— Zawsze działali na mnie Van Gogh i Paul Cezanne. Niepokojący faceti. Jak magnes. Raz przyciągali, raz odpychali. Starałem się jednak nie ulegać wpływom.

— A kiedy uzyskales własny oddech w malarstwie?

— Kiedy przestałem domagać się ode mnie robienia obrazów socrealistycznych. Nie można zmuszać artysty do czegośkolwiek. To jest zabójstwo sztuki. Nawet myśleć o tym nie chce.

— Czy poza barwą, przetworzeniem, geometrią, obchodziło cię również zło świata?

— Zawsze widziałem zło świata tam, gdzie ono było. Blisko i daleko. Ale zawsze też dbałem by tworzyć sztukę. Brałem to, co mi było do tworzenia potrzebne. Artysta to ten, który wybiera. Innej definicji nie ma. A wybierałem za wszelką cenę istniejącą rzeczywistość.

— Czyli, że czyste abstrakcji nigdy nie akceptowałeś?

— Nie. Mnie inspiruje kwiat, pejzaż miasta. Również muzyka w to wchodzi wszystko to, co racjonalnie doświadczyć, d. znane. Lubię o równowagę pomiędzy tematem dzieła a konstrukcją czystych form. Jeśli zachwycam równowagę to efektom by-aby naturalność przedstawienia lub jego nieczytelność.

— Czy nie masz ambicji moralistycznych?

— W malarstwie jestem poza tą sferą zagadnień. Ale ten problem istnieje w moich grafikach — groteskach. Na przykład: „Martwe pole chwały” — już tytuł jest groteskowy. „Leżący człowiek” czy „Baloniki” — nadmuchani ludzie wznoszą się do góry. Chcę z nich wydać album. Nie mógłbym tylko tworzyć sztuki ładnej. Jeszcze żyję i nie mam zamiaru zamykać się w wieży z kości słoniowej.

— U ciebie jednak panuje idealny ład, harmonia, symetria. Po tym jesteś rozpoznawalny...

rzecz, którą można dowolnie miotać. Człowiek naszego wieku za wszelką cenę chce zademonstrować własne ja.

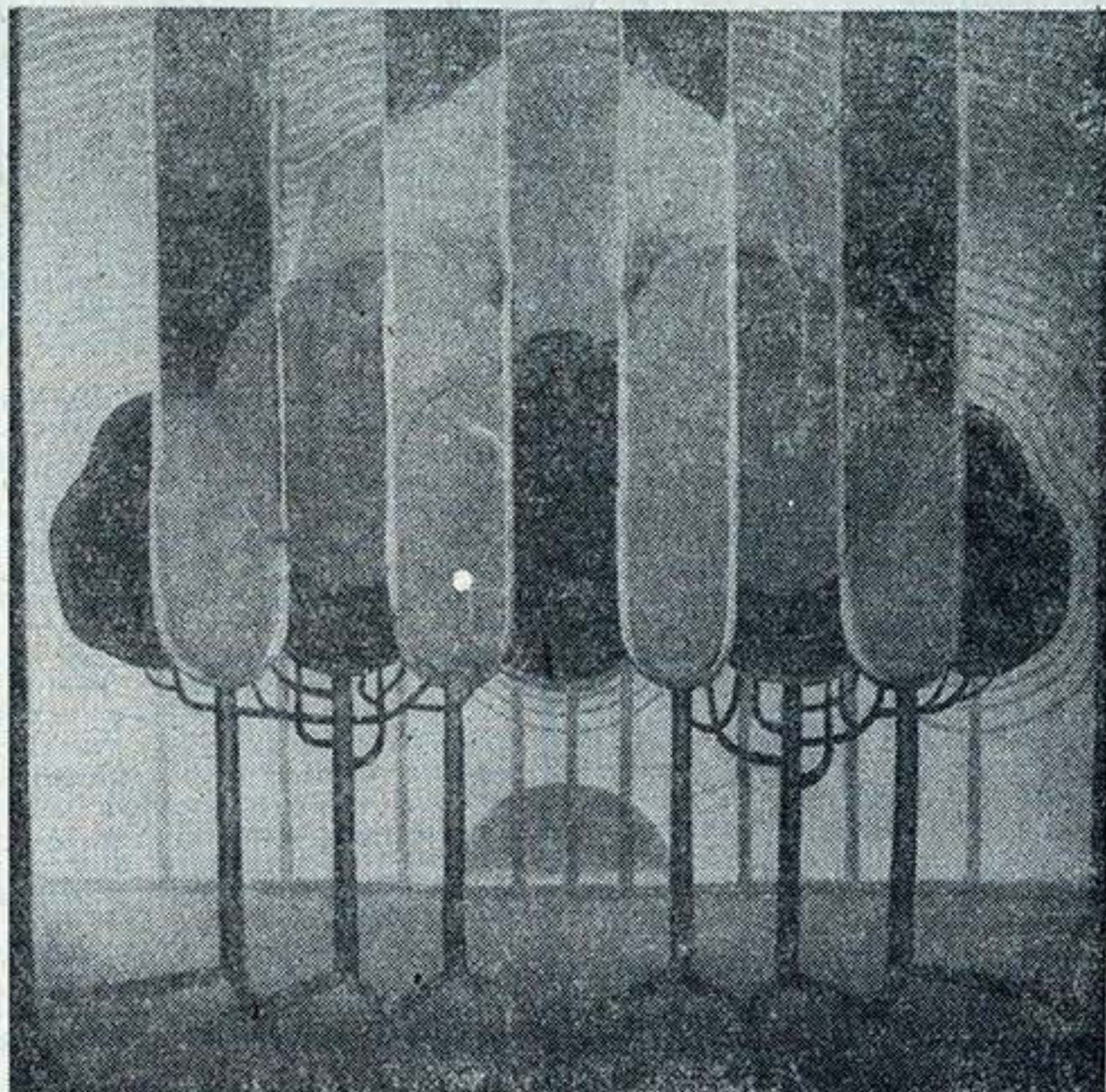
— Czy dyktat odbiorcy nie doprowadza do zaniżenia poziomu sztuki?

— Rzecz jest w tym, że obraz musi być dobrze namalowany. Uczucie namalowane. To musi być również rzemiosło, a nie jedynie chimera, pomysł, odprysk wyobraźni.

— Jaki jest odbiór twoich obrazów?

— Na wernisażach dużo ludzi przychodzi. Niektórzy zapewne wyłącznie ze snobizmu. Ale zawsze parę osób spotykam takich, które coś widzą i przeżywają.

— Na czym polega twoja metoda malarska?



Stefan Słocki — obraz olejny

— Malowałem kiedyś pejzaż przemysłowy PKL. Malowałem Turówkę, Kędzierzyn, Hutę Miedzi w Głogowie. I mogło powstać pytanie, co ja robię, jak to jest z tym „dziewięćdziesiątym przedmiotu”? Te obrazy nie są dokładną ilustracją. Ja tworzyłem po prostu z wybranych form tego pejzażu. Komponowałem obraz, którym rzuciła moja logika malarska. Oczywiście korespondencja z przedmiotem została zachowana. Ale sam obiekt ulega na płótnie przetworzeniu. Jeśli ktoś tego nie bierze pod uwagę, to nie zrozumie nic z mojego, z niczego, malarstwa. Przecież Van Gogh krajobraz widział, przeżywał. A przetwarzając wprowadzał własny ład.

— Co zrealizowałeś na swej wieloletniej drodze twórczej?

— Nie będę siebie podsumowywał, ale starałem się dużo pracować. Już kiedyś powiedziałem Henryce Doboszowej, że trzeba coś po sobie zostawić. Ale prawdziwiej, ciężej, ciągle czuję, że to najważniejsze jest ciągle przede mną. Coś kielkuje, pojawia się, są nowe pomysły. Zapięczę się za te, które rodzą się we mnie już od dwóch, trzech lat.

— W pewnym momencie fascynowała cię geometryzacja kwiatów?

— Ja kocham kwiaty i maluję kwiaty. Dla mnie w kwiecie są tysiące kwiatów. Zbudowanych z tysięcy elementów. Natura stworzyła taką wieloraką form, że można zaleść.

— Jest to jakiś rodzaj odnalezienia się wewnętrznego. Groteski są po to, by niepokoić, budzić refleksję, wrażliwość. Obrazy mają dać wytchnienie. Są przecież owocem kontemplacji.

— Wiem, że uprawiasz również rzeźbę...

— Jak do tej pory niewiele rzeźb zrealizowałem. Mam natomiast album projektów. Po prostu rzeźba jest kosztowna. Nie tylko, że stosuję metal, drzewo, sztuczne tworzywo, ale i ludzi muszę zatrudnić do realizacji. W tej chwili mam w realizacji „Trójdźwięk” i inne kompozycje. Chcę je zrealizować, jeśli mi tylko zdrowie pozwoli, w przyszłym roku.

— Czy uważasz, że społeczeństwo w starcząco interesuje się sztuką?

— Nie. W ogóle za mało się interesuje. Staje się bardzo ubogie duchowo. Na to składa się oczywiście dużo przyczyn. Nawet snobizm zanika. A on też jest wartościowy. Warunki teraz są wręcz ciężkie. Żeby coś zrozumieć, to trzeba chociaż trochę wysiłku włożyć. Trzeba czytać, chodzić do muzeum, na wystawy. A teraz jest trend na łatwość i użycie. I czasem tak myślę, czy mi się toczy do jakiegoś ciemnowidca? — Mielibyśmy też rozmawiać o twojej biografii o środowisku, a wyszło, że skupiliśmy się na zagadnieniach tworzenia. Czyż ono jest dla ciebie?

— W gruncie rzeczy jest dostąpieniem jakiejś radości, wywołaniem cudownej energii, bez której byłoby jeszcze trudniej wytrwać.

— Dziękuję za rozmowę.

## Syndrom wiejski

Stanisław Turowski

Przyglądamy się uważnie problemom, które wywierają hamujący wpływ na nasz zbiorowy awans — społeczny, ekonomiczny, kulturowy. Ostatnio szczególnie wnikliwie patrzymy na kompleks trudnych spraw związanych z polską wsią. Dominują zagadnienia gospodarcze. Dość wyraźnie widać zagrożenia dla produkcji żywności. Nie przyslanają ich „wyciszające” opinie niektórych nie do końca poważnych, a służbowo przeciw odpowiedzialnych, ludzi. Nie wolno nam godzić się na filozofię: „Bez paniki. Wszystko się w końcu jakoś ułoży. Jeszcze nigdy w Ludowej Ojczyźnie nie byliśmy głodni”.

Aby w pełni zaspokoić nasze potrzeby żywnościowe i jeszcze plody rolne eksportować (przecież to w zupełności możliwe!), niezbędne jest podniesienie, bardzo wyraźne, atrakcyjności gospodarowania na wsi. To kwestia „błyskawicznego” wdrażania w tej dziedzinie zdobyczy techniki — począwszy od komunikacji i prowadzenia gospodarstwa domowego, po zaopatrzenie w sprzęt i maszyny rolnicze.

Będąc często tematem żartów problemem żon dla rolników w istocie nie jest taki żartobliwy. Bez uchwytliwych szans na dostęp do własnego samochodu osobowego, do praktycznej automatycznej, przyzwolonej rower, młodzi uciekają ze wsi. Zwalczą młode kobiety. Choć jasne, iż przyszłość rolnictwa zależy głównie od nauki i techniki, a nie ilości pracujących w tym sektorze ludzi, ale w naszych warunkach, przy znacznym zapóźnieniu ogólnocivilizacyjnym, gdy jeszcze niezbyt skutecznie radzimy sobie z różnymi kłopotami, demografią musimy się bliżej interesować.

I stąd przechodzę do zasadniczego tematu niniejszych rozważań: do stymulowania kultury, życia umysłowego na wsi. Żony młodych rolników (ale nie tylko one!), nauczyciele, pracownicy administracji i inni, nuczający tylko na wsi (to nie takie złe, gdyż łagodzi skutki dotkliwego braku mieszkań w mieście), chcieliby mieć możliwość skorzystania z godziwie prowadzonej kawiarenki — klubu, w której jest miejsce na mini-wystawę malarstwa (choćby amatorskie go), na koncercie wędrującej akurac gwiazdy piosenki na spotkanie z kimś bardzo interesującym. Na tego typu „obiekty” powinny się znajdować środki, z różnych źródeł, z tych pozawiejskich także, bo co dobre dzieje się na wsi, jest z pożytkiem dla miasta. Pewnie, że łatwiej — nie inwestując w ich miejsce zamieszkania — korzystać tylko z dojeżdżających do „metropolii” pracowników. Takie placówki integrowałyby inteligentów żyjących na wsi. Nie czuliby się osamotnieni, pozbawieni możliwości kulturowego własnych zainteresowań, dowartościowania się w kontaktach z osobowościami z zewnątrz, powszechnie uznanymi za ponadprzeciętne.

Podkreślam tę zmodyfikowaną nieco wersję istniejących klubów „Ruchu”, „Rolnika”, ponieważ dotychczasowa koncepcja owych placówek nie zawsze dziś do końca się sprawdza. Adresatem inicjatyw klubowych jest z reguły młódzież. Idzie o to, żeby „wyżej zorganizowane” kawiarenki — kluby (z naprawą z wdziękiem podawaną kawą!), z bardziej kompetentną i lepiej opłacaną kadrami, były adresowane też do miejscowej inteligencji. Unifikacja odbiorców nie zdaje przecież egzaminu. W większych miejscowościach, miasteczkach może warto byłoby się pokusić niekiedy o rozwiązania typu agencji.

Zakładając, iż są niezbędne środki materialne (wszędzie one powinny się znaleźć, to tylko chęci i pomysły) do prowadzenia w środowisku wiejskim i małych miasteczkach takich właśnie kawiarenek — klubów — saloników, nieodzowni są jeszcze ludzie: wykształceni, ambitni, niespokojni, nie godzący się na dopadającą ich szarzyznę — bytowa, myślowa, „doznaniowa”. Aby tak się działo, należy — bardziej skutecznie niż dotąd — usuwać przeszkody oddziałujące na inteligentów od subtelności życia duchowego. To cel, którego nie wolno tracić z oczu podczas działalności politycznej i społecznej na wszystkich szczeblach — od zebrania wiejskiego do sejmowej debaty. Oczywiście, nie zaprzeczając również żadnej już dostępnej szansy poprawienia czegoś wokół w tej dziedzinie.

Wyjątkowo bolesne liczne ograniczenia, często natury administracyjnej tak też, odczuwa najaktywniejsza część inteligencji prowincjonalnej. Smuci ciągła świadomość niezadowalającej efektywności podejmowania inicjatyw, przedsięwzięć. Martwi niepełny nieraz odzew ze strony bardziej wykształconej czy odpowiednio przynajmniej formalnie wykształconej części lokalnej społeczności.

I — jakże z impetem włączyć się w rewolucjonizowanie, reformowanie swego środowiska, skoro gros czasu pochłaniają zabiegi tak elementarne, które w mieście częstokroć nie kosztują ani chwili z troskowania. Co się tam — tak

w ogóle — wydaje luksusem albo rzeczą normalną, w gminie ma wymiar niezbędności bądź dokuczliwego, specyficznego problemu. Może dlatego kultura na prowincji nie chce kwitnąć? Może dlatego inteligent na wsi się zalamuje?

Człowiek z inicjatywą, dysponujący określonymi warunkami intelektualnymi, pragnący pomóc innym, miejscowej społeczności musi równocześnie — przykładowo — podjąć wiele starań dla zapewnienia rodzinie opału na zimę. Węgiel bardzo drogi, drewno też. Jedno i drugie — jak dostać? A gdy już choć część tego znajdzie się w piwnicy, przychodzi kolej na powszednią kolację: palenie, rąbanie, wynoszenie popiołu, naprawa pieca. Przedtem transport, kombinowanie benzyny do piły, dziesiątki godzin ciężkiej roboty.

Gdy dopadnie człowieka przewlekła choroba, wtedy czasochłonne wyjazdy, finansochłonne, ekwilibrystyka (na granicy prawa), żeby zdobyć konieczne lekarstwo. Wyleczenie zębów — to już jak skrobanie się po szklanej gorze.

A ile razy — wbrew zaplanowanym innym zajęciom — wypadnie stracić kilka godzin i dodatkowych pieniędzy, jeśli w miejscowym jednym sklepie braknie chleba, mleka, masła! Świadomość zaprzeczonych godzin i złości! Jak się wtedy skupić na idealach, rzeczach wzniosłych?

Powszechnie samochód traktuje się jako luksus. Na wsi to z reguły bardzo potrzebny środek lokomocji. Korzystanie z autobusów i pociągów narzuca do kuczliwie nieraz rygory. Dla człowieka aktywnego intelektualnie, społecznie — proste, tanie auto jest niezbędnym narzędziem pracy. Jego niedostępność — bardzo często z powodów finansowych (lecz i innych), doprowadza do frustracji. Ktoś kto samochód używa tylko do własnych potrzeb, ma go dłużej i mniej wydaje na paliwo, na remonty. Do tego wciąż te poniżające prośby o kartki na benzynę. W takiej sytuacji czy „słodniej” duchowo weterynarz, nauczyciel, urzędnik może pojechać np. do teatru?

Wymienione warunki sprawiają, że nawet ludzie najwyższej wykształcenia na wsi zmuszeni są zajmować się „partierem” egzystencji i pracy a nie uniesieniem ducha. Stąd amatorzy życia kulturalnego i umysłowego na prowincji gminnej tracą niełatwo wewnętrzny hart, natrafiając niejednokrotnie na obojętność również szkół, choć w dokumentach resortowych nie brakuje zobowiązań sformułowań co do udziału placówek oświatowo-wychowawczych w życiu społecznym i kulturowym środowiska. Wszyscy mają własne kłopoty.

To naturalne, że bogata działalność kulturalna sprzyja wykrywaniu nowych cennych ludzi. Niekiedy narusza to pożyteczne ustalenych od lat koterii. Przelamywanie spokoju i nudy uczy krytycyzmu, co nie wszystkim jest na rękę. Wiele razy aktywność w kulturze wywołuje innowacje w działalności gospodarczej.

Indywidualności twórcze, natrafiając na otoczenie mniej wykształcone, napotyka duże trudności. Wiąże się to z perspektywą absorbujących zmian. Przychodzi nieraz walczyć z uporem zwierzchności — przyzwyczajonej do tego, co było dotąd, zawistnej niekiedy. Nie zawsze można liczyć na poparcie władz terenowych, które też na ogół nie lubią „fermentu” w swoim środowisku. I — to są normalni ludzie przecież. Ze swoimi poglądami, sympatiami. Nie ma wielkich perspektyw awansu społecznego, życiowego. Najambitniejsi nie mają po czucia bezpieczeństwa. Łatwo popaść w osamotnienie. Gorzej jeszcze, gdy przychodzi poczuć rezygnację.

Jeśli uwzględnić ponadto niską pozycję bytową inteligentów, zrozumiałe sta się się zgorzknienie tej grupy społecznej. Jasne jest, dlaczego czatuje się na sposobność wyrwania się do miasta. Samo mieszkanie przestaje być przekonującym argumentem.

Słabe tętno życia kulturalnego na wsi, stosowanie czterechśrodków w tej dziedzinie, zniechęca inteligencję do podejmowania pracy, osiedlania się w Polsce gminnej. Dlatego też brakuje przecież nauczycieli, i brakuje dobrych nauczycieli. Stąd nieraz niechęć rolników do dalszego prowadzenia gospodarstwa, bo dzieci mają gorzej niż w mieście warunki do nauki (np. obcych języków), uczyła jest też praca kobiet. Są duże zaniedbania w infrastrukturze społecznej. KTT w 13 numerze „Polityki” broń się wsi, pisał m.in., że trudniejsze niż w mieście warunki życia na wsi są je dną z przyczyn niskiej wydajności rolnictwa i naszych niedostatków żywnościowych. To tylko jedna z opinii tego typu.

Prawda. Stroni od wsi i rolnik (ten młodszy, pragnący egzystować nowoczesniej, wygodniej), i inteligent, ze względu na panoszącą się monotonię, niemożność i przez wzgląd na przyszłość dzieci. Jak zatem widać, nie da się oddzielić stymulowania rolnictwa od stymulowania życia kulturalnego na wsi. Kiedy to sobie w pełni uświadomimy?



## Sceny miłosne w literaturze pięknej

ra i śliska. Wchodzi i wychodzi z obscurnych pokoi, i kiedy siada, załamuje się pod nim krzesło, a kiedy otwiera walizkę, znajduje w niej tylko szczoteczkę do zębów. W każdym pokoju wisi lustro, przed którym przystaje z uwagą i przeżuwa swoją wściekłość, od tego ciągłego żucia, od sarkania i mamrotania, od mrużenia i przeklinania. Szczeka kruszy się na kawałki, on zaś jest tak zdegradowany samym sobą, że depcze własną szczękę i miażdży ją swymi wielkimi obcasami na proch.

Tymczasem wnoszą bagaże. Wyglądają one jeszcze dziwniej niż przedtem — zwłaszcza kiedy Van Norden przymocowuje swoje przyrzą-

porzucilem... jeśli kiedykolwiek wrócę. Czasami leżę na łóżku i śnię o przeszłości, wydaje się taka realna, aż muszę się otrząsnąć, żeby się zorientować, gdzie właściwie jestem. Szczególnie kiedy mam koło siebie kobietę; kobieta wywołuje to silniej niż cokolwiek innego. A chcę od nich właśnie zapomnienia. Czasem tak się zdarza, że w rozmyśleniach, że nie pamiętam ani imienia dupy, ani skąd się tu wzięła. Śmieszne, co? Dobrze jest mieć rzęście rozgrzane ciało koło siebie, kiedy się człowiek budzi rano. Człowiek czuje się taki czysty. Taki uduchowiony... póki nie zacznie gadać tych swoich bzdur o miłości. Możesz mi powiedzieć, dlaczego te wszystkie dupy mówią tyle o miłości? Wygląda na to, że dobry numer w łóżku to dla nich za mało... chcą jeszcze twojej duszy...

Słowo „dusza”, którym tak naszpikowane są monologi Van Nordena, z początku bardzo mnie śmieszyło. Ilekroć słyszałem z jego ust słowo „dusza”, dostawałem spazmów; brzmiało jakoś fałszywie, może dlatego, że zwykle towarzyszyło mu obfite splucie brązową płwociną, zostawiające parę kropki śliny w kąciu warg. A ponieważ nigdy nie omieszkalem roześmiać mu się prosto w twarz, utarło się, że kiedy to małe słówko zaczynało kielkować w jego ustach, Van Norden mikał na chwilę, akurat na tyle, żeby dać mi czas zarechotać, a potem, jakby nigdy nie, kontynuował swój monolog, powtarzając to słówko coraz częściej, za każdym razem z bardziej pieśczętliwą emfazą. To właśnie jego duszę kobiety encjały posiąść — wyjaśnił mi precyzyjnie. Wyjaśnił to wielokrotnie, wciąż od nowa, ale i tak wracał do tego za każdym razem, jak paranoik do swej obsesji. W jakimś sensie Van Norden jest nienormalny, nie ma co do tego dwóch zdań. Jego jedyna obawa to to, że zostanie sam, a jego lęk jest tak głęboki, tak uporczywy, że nawet kiedy leży na kobiecie, nawet kiedy jest z nią złączony, nie może uciec z więzienia, które sam sobie zbudował. — Próbowałem wszystkiego — wyjaśnia. — Czasami zaczynam liczyć albo rozwiązywać jakiś problem filozoficzny, ale to nie pomaga. Jestem jakby dwoma ludźmi, z których jeden obserwuje mnie przez cały czas. Tak się piorunsko wściekam sam na siebie, że mógłbym ze sobą skończyć... i w jakimś sensie robię to za każdym razem, kiedy mam orgazm. Przez sekundę wydaje mi się, że się rozpylam. Że nie ma ani jednego z nas dwóch... nie ma nic... nawet dupy. To tak, jak przyjmowanie komunii. Serio, mówię ci. Przez parę sekund potem jestem taki rozpalony ucho, może to będzie trwało w nieskończoność, skąd można wiedzieć? Ale coś, obok jest kobieta, a nade mną irygator, i słychać kapanie wody... te wszystkie drobne szczegóły czynią człowieka tak straszliwie samoświadomym, rozpaczliwie samotnym. A za ten moment wolności musisz wysłuchać tych wszystkich bzdur o miłości... rzygać mi się chce... Od razu bym je wykopnął... i czasem to robię. Ale to i tak nie pomaga. Fakt, że one to nawet lubią. Im mniej na nie zwracasz uwagi, tym więcej za tobą ganiają. W kobietach jest coś perwersyjnego... wszystkie są w głębi duszy masochistkami.

— No więc czego ty właściwie chcesz od kobiet? — pytam.

Zaczyna trzeć ręce; dolna warga mu opada. Wydaje się kompletnie zagubiony. Kiedy wreszcie udaje mu się wydukać parę porwanych zdań, w jego głosie kryje się przekonanie, że są to tylko jalone słowa. — Chciałbym móc oddać się kobiecie — wykrztusza. — Chciałbym, żeby mnie oderwała ode mnie samego. Tylko żeby tego dokonała, musiałaby być lepsza ode mnie, musiałaby mieć rozum, nie tylko szparę. Musiałaby mnie przekonać, że jej potrzebuję, że nie mogę bez niej żyć. Znajdź mi taką dupę, zgoda? Gdybyś taką znalazła, oddałbym ci swoją posadę. Nie obchodziłoby mnie wtedy, co się ze mną stanie: nie potrzebowałbym posady ani przyjaciół, ani książek ani niczego. Gdybyś mnie tylko zdołała przekonać, że jest na świecie coś ważniejszego niż ja sam. Jezu, jak ja siebie nienawidzę! Ale jeszcze bardziej nienawidzę tych skurwysynskich dup, bo z żadnej nie ma pożytku.

— Myślisz, że ja siebie lubię — ciągnie dalej. — Najlepszy dowód, jak słabo mnie znasz. Wiem, że kapitały ze mnie facet. Nie miałbym tych problemów, gdybyś coś we mnie nie tkwiło. Ale zjada mnie to, że nie mogę się wypowiedzieć. Ludzie uważają mnie za dziwka. Tacy są powierzchowni ci fajogłowi, zo przesiadują cały dzień na terra i żują psychologiczny obrok. Zanotuj to dla mnie. Wykorzystam na felietonie w przyszłym tygodniu. — A przy okazji, czytałeś Stęka? Warto to coś? Na pozór nic takiego, ale dla mnie to ciekawe przypadki kliniczne. Chciałbym, jak rany, zdobyć się na to, żeby wreszcie pójść do psychoanalityka... oczywiście do dobrego. Nie takiego szarlatana z kosią brodką i w tuzurku, jak ten twój przyjaciel Borys. Jak ty możesz tolerować takich facetów? Nie zauduszają cię na śmierć? Zauważyłem, że rozmawiasz z byle kim. Na niczym ci nie zależy. Może masz rację. Żebym ja nie był tak cholernie krytyczny. Ale te wszystkie brudne Żydki, co się kręcą przy Dome, Jezu, aż mi skóra cierpnie. Jakby recytowali z podręcznika. Gdybym gadał z tobą dzień w dzień, może zdołałbym wyrzucić to z siebie. Jesteś dobrym słuchaczem. Wiem, że cię gówno obchodzi, ale masz do mnie cierpliwość. I nie forsujesz żadnych swoich teorii. Przypuszczam, że potem wszystko zapisujesz w tym swoim notiesie. Słuchaj, mało mnie obchodzi, co tam o mnie napiszesz, tylko nie rób ze mnie dziwka, bo to za proste. Pewnego dnia napiszę książkę o sobie, o swoich przemysleniach. Nie jakiś tam kawałek introspekcji... nie, położę się na stole operacyjnym i obnarzę całe swe wnętrze... wszystkie przekłete brudy. Czy ktoś kiedy zrobił to przede mną? Czego się u diabła śmiesz! Tak to naivnie brzmi?

(CDN)

(Fragmenty prozy Henry Millera, w przekładzie Zofii i Lucjana Forembskich, przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 5-6 z ub. roku).

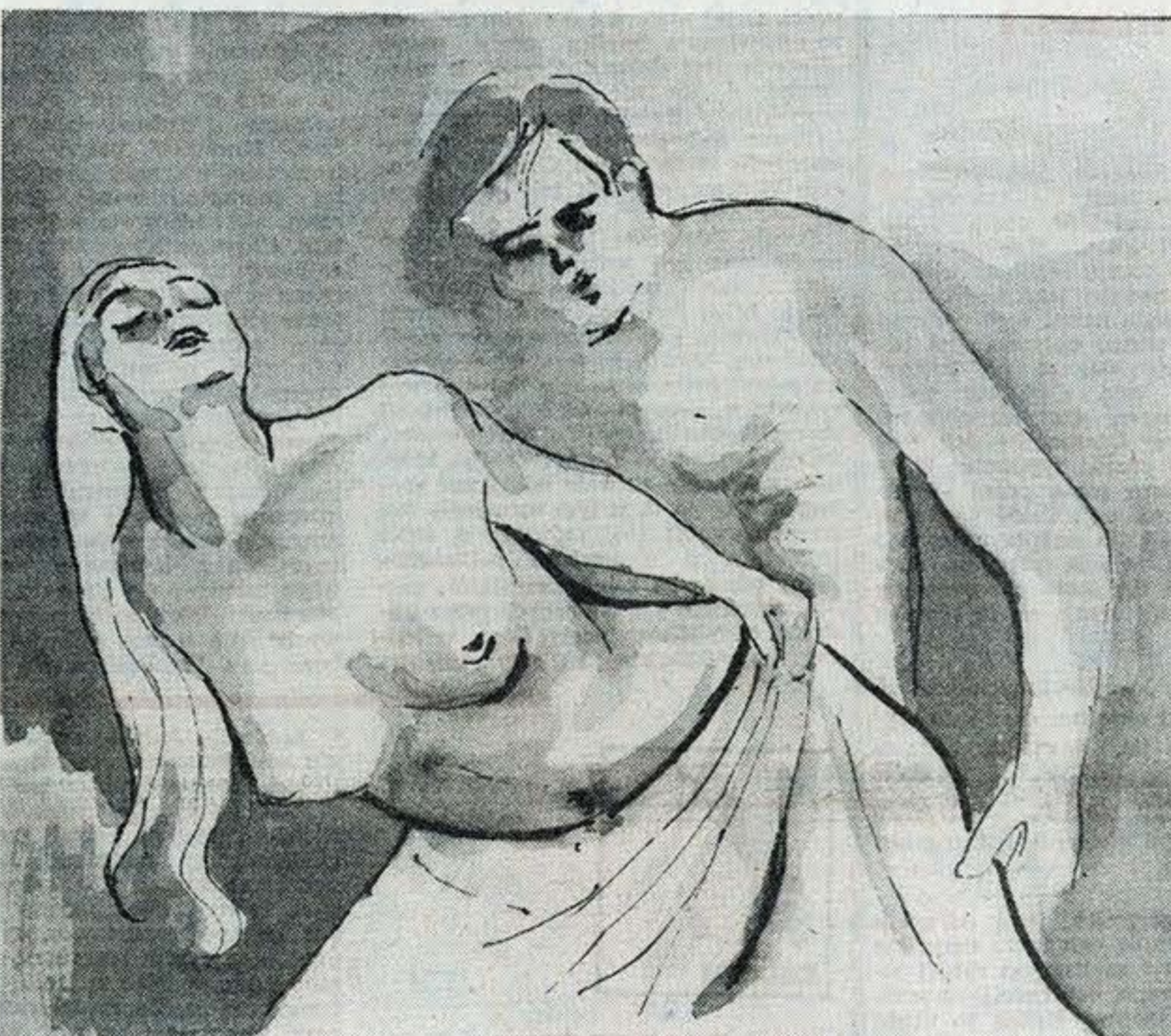
wanie wypada z nich stara wiedźma o skołtunionych włosach i oczach wariatki. Tak nas zaskakuje, że stajemy jak wryci. Przez dobrą minutę cała nasza trójka stoi nie zdolna ruszyć się czy bodaj wykonać jakiś stosowny gest. Za plecami widzę kuchenny stół, a na nim całkiem gołe niemowlę, wątyły mały dzieciaczek, nie większy niż oskubany kureczak. Wreszcie stara bierze kubel stojący u jej nóg i robi krok w naszym kierunku. Odsuwamy się, aby ją przepuścić i kiedy drzwi zatraskują się za nią, dziecko wydaje przeraźliwy krzyk. To jest pokój 56, a między 56 i 57 jest toaleta, gdzie stara wiedźma wypróżnia swoje kubły.

Odkład zaczęliśmy wchodzić po schodach. Van Norden milczy. Ale ma wymowną minę. Kiedy otwiera drzwi pokoju 57, mam przez króciutką chwilę wrażenie, że zwariowałem. Olbrzymie lustro zakryte zieloną gażą i nachelone pod kątem 45° wisi dokładnie naprzeciw wejścia, nad wózek dziecienny, załadowany książkami. Van Norden nie sili się nawet na uśmiech; za to podchodzi nonszalancko do wózka, bierze jedną z

## ZWROTNIK RAKA

Henry Miller

(5)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

książek i zaczyna ją przerzucać, jakby był w czytelni i beznamiętnie sięgał do najbliższej polki. I może nie wydałoby mi się to takie niedorzeczne, gdybym w tej samej chwili nie spostrzegł kierownicy roweru spoczywającej w kącie. Wyglądała tak absolutnie spokojnie i pogodnie, jakby drzemiała tam od lat, i nagle wydało mi się, że to my stoimy w tym pokoju, dokładnie w tej samej pozycji, nie wiadomo odkąd, że to jest poza, jaką przyjęliśmy we śnie, z którego się nigdy nie obudzimy, we śnie, który może zakłócić naglejszy gest, nawet mrugnienie oka. Ale jeszcze bardziej zastanawiające jest nagle przypominanie prawdziwego snu, który miałem poprzedniej nocy, widziałem w nim Van Nordena w takim samym kącie jak ten zajmowany przez kierownicę. Tylko zamiast kierownicy przyklepała tam kobieta z szeroko rozstawionymi nogami. Widzę, jak Van Norden pochyla się nad kobietą z tym czujnym, namietnym błyskiem w oku, który pojawia się, kiedy czegoś bardzo pragnie. Ulica, na której się to dzieje, jest zamglona — jasny jest tylko kąt stworzony przez dwie ściany i skulona postać kobiety. Widzę, jak zbliża się do niej w szybki zwierzy się sposób, nie oglądając się na nic, zdecydowany dostać to, czego chce. I to spojrzenie jego oczu mówiące: „Możesz mnie zabić, ale teraz mi, dam... muszę tam wejść”. I oto już jest na niej, ich głowy uderzają o ścianę, ma tak straszliwą erekcję, że po prostu nie może w nią wejść. Nagle, z wyrazem niesmaku, który tak dobrze umie przybierać, podnosi się i doprowadza do porządku ubranie. Już ma odchodzić, kiedy nagle spostrzega, że jego członek leży na chodniku. Jest on wielkości kija odciętego od szczotki. Bierze go nonszalancko i wsuwa sobie pod pachę. Kiedy odchodzi, widzę dwie wielkie żarówki nycim cebulki tulipanów, dyndające na końcu kija i słyszę, jak mamrocze do siebie: „Kwieciści... kwieciści...”.

Przybiega spocyny i zdyszany garcon. Van Norden patrzy na niego z zaskoczeniem. Za chwilę wraca madame, odchodzi prosto do Van Nordena, wyjmując mu książkę z ręki, wrzuca ją do dzieciennego wózka i bez słowa wytacza wózek na korytarz.

— Dom wariatów — mówi Van Norden z rozpaczliwym uśmiechem. Jest to tak blady, nie co opisaną uśmiech, że na chwilę wraca wrażenie snu i znów wydaje mi się, że stoimy na końcu długiego korytarza, na którego drugim końcu znajduje się zniekształcające lustro. A na tym korytarzu, wymachując swoją niedolą jak matową lataką, zatacza się i zatacza Van Norden, tu i tam otwierając się drzwi, co i rusz huknie go jakaś pieśń, kopnie jakieś kopyto. I im dalej się posuwa, tym żałośniejsza jest jego niedola; nieświe ja jak latakę podobną do tej, którą rowerzysta trzyma w zębach nocą, kiedy droga jest mok-

dy gimnastyczne do poręczu łóżka i zaczyna wykonywać ćwiczenia Sandowa. — Podobą mi się tutaj — mówi uśmiechając się do garsona. Zdejmuję marynarkę i lamizelkę. Garcon gapi się na niego ze zdumieniem, w jednej ręce ma walizkę, a w drugiej irygator. Ja stoję obok, w przedpokoju, trzymając lustro z zieloną gażą. Wydaje mi się, że ani jeden przedmiot tutaj nie ma praktycznego zastosowania. Sam przedpokój zdaje się nieprzydatny, jest jak westybuloł stodoły. Odnoszę takie wrażenie, jakie miewam wchodząc do Comédie Française albo do teatru Palais-Royal, jest to świat drobiazgów, ukrytych przejęć, herbów, popiersi, wystawianych posadzek, kan- delabrow, ludzi w zbroi, posągów bez oczu i listów miłosnych w szklanych gablotach. Coś się tu dzieje, ale nie z tego nie wynika; to jak dopinanie opróżnionej do połowy butelki calvadosu, dlatego, że nie ma na nią miejsca w walizce.

Gdy wspiąłem się po schodach, Van Norden, jak już wspominałem, zwrócił mi uwagę na fakt, że kiedyś mieszkał tu Maupassant. Ten zbieg okoliczności wywarł na nim wrażenie. Chętnie by wierzył, że to właśnie akurat w tym pokoju Maupassant spłodził jedną ze swoich okrutnych powieści, które ugruntowały jego sławę. — Te biedne skurwysyny żyły tutaj jak świnię — mówi. Siedziły przy okragłym stole na dwóch wygodnych starych fotelach, powiązanych rzemieniami i paskami; łóżko jest tuż koło nas, tak blisko, że można na nim położyć nogi. Armoire stoi w kącie za nami, także wygodnie, w zasięgu ręki. Van Norden wysypał swoje brudne rzeczy na stół; siedzi więc z nogami zagrzebanymi w jego brudne skarpety i koszule, i palmy z zadowoleniem. Ubóstwo otoczenia działa na niego jak zakłęcie: dobrze się tu czuje. Kiedy wstaje, aby zapalić światło, proponuje partyjkę kart, zanim pójdziemy coś zjeść. Siedzi więc przy oknie, kupa brudów na podłodze, sprężyna Sandowa zwisa z żyrandola, i gramy parę rundek durnia. Van Norden odłożył fajkę i wnakował sobie prymkę tytoniu pod dolną wargę. Od czasu do czasu spłuwa za okno obfitym zdrowym charakterem brązowego soku, który rozbiła się z kłasińcem na parapiecie poniżej. Jest najwyraźniej zadowolony.

— W Ameryce — mówi — nawet by ci do głowy nie przyszło mieszkać w takiej norze jak ta. Nawet kiedy byłem bezrobotny, sypiałem w lepszych pokojach. Ale tu się to wydaje naturalne, jakbyś czytał w książce. Jeżeli kiedyś wrócę do kraju, zapomnę o tym życiu, tak jak się zapomina na żył sen. Prawdopodobnie podejmę swoje dawne życie w tym samym punkcie, w którym je





Wiesław Sokółowski jako Makbet i Danuta Malinowska w roli Lady Makbet  
Fot.: JERZY SZALBIERZ



## SKOLNY „MAKBET”

„Makbet” jest jednym z najbardziej znanych dramatów Szekspira, a jednocześnie wystawianym stosunkowo rzadko. Teatralna plotka głosi, że się nie udało przedmieszać telewizji nadać nowatorską interpretację „Makbeta” z Danielem Olbrychskim i Joanną Szczepkowską w rolach głównych, z plejadą gwiazd, w odmiennej bo plenerowej scenarii. Nawet do widowni nie zdobyło uznania krytyki. Spośród 9 krytyków na łamach „Kultury” wystawiających mu oceny, tylko jeden postawił piątkę, a czterech — trójkę.

Dyrektor Antoni Baniukiewicz wie, że przede wszystkim młodzież stanowi publiczność jego teatru. Sądzę, że właśnie ta przesłanka legła u podstaw decyzji o wystawianiu „Makbeta”, utworu ze ścisłego kanonu lektur szkolnych. Jeśli do tego dodać, że przedstawienie jest zgodne z tradycyjną interpretacją treści i formy, to jego funkcja szkolnego bryku staje się jeszcze bardziej oczywista.

Głównym „bohaterem” tego przedstawienia jest miedź. Nie wiem, kto ją wymyślił — scenograf czy reżyser — ale to ona jest wszechobecna, ona najpełniej „gra”. Jako podstawowy element scenografii nadaje całemu przedstawieniu ton szlachetności i powagi, a pokryta patyną zda się być jak stary człowiek: bliska i ciepła. Wykorzystywana jako źródło dźwięku brzmi dziesiątkami tonów. Wobec powagi jej dźwięku zbędna, a nawet drażniąca stała się wieloinstrumentalna muzyka, tak że wykorzystywana w spektaklu.

Scenografię do gorzowskiego przedstawienia przygotowała Adele Anggard, artystka współpracująca z wieloma wybitnymi reżyserami Europy, autorka opracowań scenograficznych do ważnych przedstawień, w tym wielu szekspirowskich. W „Makbecie” zaproponowała scenografię prostą, nawet ascetyczną, a przecież funkcjonalną i pozostającą w pamięci jako najważniejszy element przedstawienia. Bujne, barwne, okazałe kostiumy współgrają z miedzią, nadając scenicznej opowieści walor odległej, prawdziwej historii.

5-aktowy dramat Szekspira został skrócony do dwóch aktów, co wymusiło konieczność dokonania dużych skrótów. Akt I dzieje się jak na przyspieszonym filmie. Marionetki wchodzi, wygłaszają kwestie i wychodzą. Nie ma tu miejsca na rysowanie wnętrza postaci, budowania charakteru, szukania psychologicznych uwarunkowań. Odnosi się to również do głównych postaci — Makbeta i jego żony, choć te role pozwalają na głębią i wielość interpretacji, o czym świadczy historia teatru.

Wiesław Sokółowski ukazał Makbeta jako człowieka słabego, najpierw zaskoczony przepowiednią, potem poddający się decyzjom żony, wreszcie osaczony koniecznością dokonania kolejnych zbrodni. Jego Makbet jest najbardziej ludzki, gdy nie chce wierzyć w konsekwencje własnych czynów, w bieg historii, a całkowicie ufa jej. Prawdziwą klęskę przeżywa, gdy sprawdza się ich przewidywanie. Po czterech latach obecności na gorzowskiej scenie Wiesław Sokółowski po raz pierwszy dał swojemu bohaterowi pewną złożoność psychologiczną.

Taka złożoność jest immanentnie wpisana w tekst. Ani reżyser, ani aktor nie poszli dalej, nie podjęli próby poszukiwań. W postaci Makbeta przekazał kolejną porcję szkolnej wiedzy. Danuta Malinowska jako Lady Makbet nie opanowała nawet tego poziomu i wiele wody winno upłynąć, nim będzie miała prawo sięgnąć po kolejną szekspirowską rolę. Ciekawie natomiast w obłędnym, szatańskim tańcu pokazane zostały Czarownice. Ich obecność w scenie przed sypialnią króla przypomina nieco scenę przed sypialnią cara z „Kordiana”. Takie ujęcie po głębia udziału świata nadprzyrodzonego w losach ludzi. Szkoda tylko, że ruch Czarownic jest tak mało plastyczny, że wielokrotnie powtarzają się te same ruchy i gesty.

Ograniczając kwestie innych postaci, reżyser nie dał aktorom okazji do wygranania się, ale jak dowiodła historia teatru — nawet epizody mogą być majstersztykami. Tu nie są. Autorstwo jest najsłabszym elementem tego przedstawienia.

Obserwując gorzowski teatr od wielu lat, systematycznie oglądam wszystkie przedstawienia i za każdym razem jestem zaskakiwana obecnością na scenie nowych aktorów. Można to uznać za zasługę dyrekcji, że pozyskuje nowe twarze, daje widzowi szansę zetknięcia się z młodymi. Ale przecież z tego samego powodu gorzowski teatr od dość dawna nie ma już zespołu. Odcinając dojrzały, sprawdzony. Przychodzą młodzi, bez scenicznego doświadczenia, o niepełnych kwalifikacjach. Dopiero w Gorzowie zdobywają umiejętności, zdając aktorskie egzaminy i... przenosząc się do innych miast. Publiczność nie ma możliwości przyzwyczaić się do swoich aktorów, poznać ich, polubić. Dla aktorów pobyt w Gorzowie jest epizodem, zapewne bez większego znaczenia w scenicznej drodze. Zerwane zostały więzy między publicznością a zespołem. Teatr produkuje sztuki, nie szukając nowego kręgu odbiorców, nowych widzów. Uczniowie ze szkół i tak przyjdą zobaczyć lekturowe przedstawienie.

Bezpośrednio po obejrzeniu gorzowskiego „Makbeta” uczestniczyłam w XXIII Ogólnopolskim Przeglądzie Małych Form Teatralnych w Szczecinie, w którym prezentowały się teatry nie tylko małe, ale przede wszystkim poszukujące, tzw. alternatywne. Młodzi walili drzwiami i oknami. Choć nasze nie bez rewelacji, ale wypełnione były po brzegi, młodzi siedzieli na schodkach, stali pod ścianami. Przyszli sami, zapłacili za karnety, żywo dyskutowali po każdym przedstawieniu.

W Gorzowie oglądałam spektakl przez znany dla młodzieży. Wszystkie miejsca sprzedane. Na początku zajęte dwie trzecie, po przerwie — jedna trzecia. Z Gorzowa do Szczecina jest tylko 100 km. To jednak strasznie daleko.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

PS. Nie bardzo wiem, jak powinienem pisać nazwisko autora sztuki i głównego bohatera, bo na afiszach i na okładce programu podano „Makbet” a w spisie osób — „Macbeth”, na okładce — „Szekspir, na str. 1 — Shakespeare, na str. 3 znów — Szekspir. Biedni uczniowie. Oni za taką zmiennością mogą dostać dwóję!

William Szekspir: Makbet, przekład Maciej Słomczyński, reż. Antoni Baniukiewicz, scenografia Adele Anggard. Premiera 9 kwietnia 1988 r.

## To jest twarde owocowanie

Jako kolejny w bibliofilskiej serii Muzeum Ziemi Lubuskiej ukazał się właśnie zbiorek Zdzisława Morawskiego „Słowa w drewnie i kamieniu”. Tak się szczęśliwie złożyło, że wiersze te korespondują niezwykle trafnie z rzezbami Józefa Cyganka, świetnego artysty, którego twórczość niedawno eksponowana była w galerii sztuki Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

Józef Cyganek „worzy w drzewie”. Robi te swoje kobiety z form prostych, nacechowanych rytmem geometrycznym, wymiarem surowego ujęcia przedmiotu. Wynikają one z dążenia do uchwycenia istoty, z odarcia ze złudzeń. A jednocześnie mają w sobie lekkość, wdzięk, nowoczesnej formy. Jakby powiedział Zdzisław Morawski: rzeźby Cyganka „To jest twarde owocowanie”. Każda sztuka wymaga wysiłku, a rzeźba szczególnie. Trzeba pilnie baczyc, by materia ściśle przylegała pod rygiem dłuta. A przecież czymże jest poezja Zdzisława Morawskiego, debiutującego trzydzieści lat temu, który doświadczył osobiście ociosowania granitu, żeby przetrwać? Czymże jest jeśli nie zderzeniem się oporna materia rzeczywistości. O tej materii i o swoim zadaniu w omawianym tomiku poeta pisze: „Materia jest dzika / Trzeba ją ujarzmić / By nie wodziła nas na zabubienie / Trzeba ją przetrwać” („Obszar nadmaterialny”). Toteż zestawienie rzeźbiarstwa Cyganka i poezji Morawskiego jest jak najbardziej uzasadnione.

Poezja Zdzisława Morawskiego skoncentrowana jest wokół jednego zadania. Autor przybliża się najbardziej jak to tylko jest możliwe, od konkretnego do szczegółu, gdzie poznaje się część składową, bardzo zwyczajną, prozaiczną, odmiotolizowaną, ale dającą obraz prawdy o naszym świecie, o naszej skomplikowanej, gorzkiej codzienności, która wszędzie do nas przychodzi, która nas osacza, nie zezwala odetchnąć spokojem. Czy po to w tym momencie stoi na przegranej? On, mówiący o sobie ironicznie, z uśmiechem pobłażania, jakby odmawiał sobie wszystkich, usakralizowanych i przypisanych przez tradycję, cech ethosu poetyckiego, w którym najważniejsze jest owo romantyczne

„wzlatywanie nad poziom”. On rzecz ujmie po prostu: „Ja kopacz obszaru moich wyobrażeń”. A to nas zbliża raczej do doświadczenia robotnika, do demurga, który jest raczej ludzki — z krwi i kości — niż boski w swej naturze. Poeta Morawskiego ma się pod stawową, siłę kogoś żyjącego wśród nowoczesnych, ziemskich zagadnień, siłę przetwarzania materii zdarzeń, materii widzianych obrazów, materii rzeczy, materii własnych doświadczeń — owe włókna, cięgna, skórcze, słoje drzew, smaki, wonie łąk, żywice lasu, smaki, dotyki itp. To znaczy: wszystko to, co nas otacza, a więc „ogromne samochody stada / Pobekujące nad rowami traw / Popędzane przez ruch / Wyprawowane na odpust materii” („Obszar nadmaterialny”). Cywilizacja zderza się tu z wielkością i nie budzi lęku. Widziana jest jako ludzyczna (festyn) zjawiska. Poeta Morawskiego ma też inną siłę, prócz przywołania całej sfery materii (tego wszystkiego, co on uznał za współczesność). Jego duma bierze się stąd, że jednak czuje swoją szczególną misję, wie przecież, że on jest mocodawcą wartości, kodyfikatorem sensu, mówi: „I sół poetyką zrobię z prostej soli”. Nie jest symbolami obciążona ta sól, ta patriotyczna pieśń ale aż śmiesznie zwyczajna sól „Jaką ty wypocisz przez gruczołów pięćset / Jak ty nosisz w dwustu punktach bólu” („Obszar nadmaterialny”). Można rzec, Morawski patrzy konkretnie i ironicznie, nie bałchwalczo. On jest tej zmaterializowanej epoki pieśniarzem, al' zachowuje jednocześnie dystans. Chrystus tej epoki też jest raczej zrobiony: „Ukuty w kuźni / Wypieczony młotem” — „Każdy paznokieć ma ślady kunsztownej roboty — / Na koronie majster skreślił szafę drutu” („Świątka opisana”), aniżeli nadprzyrodzony, wywiedziony z „Nowego Testamentu”. Również „Wielki dom” Morawskiego jest efektem koncepcji człowieka, jego logicznych koncepcji i technicznych konstrukcji. Czyli, że interesuje poetę nie wymiar ideologiczny, ale proces wytłaniania się rzeczy, tworzenia z konkretnej materii. Tu, gdzie człowiek się zmagą z konkretem, Morawski jako poeta przymierza swą wyobraźnię, o tyle, o ile jej udział jest konieczny. Wyobraźnia nie wypredza,

ale towarzyszy poecie w akcie poznawania i określania świata na poetycki użytek.

Jest więc w poezji Morawskiego weryfikatorem prawdy, nie posuwa się jednak do zabiegów demaskacyjnych lub do dyskredytacji tego, co budzi jego zastrzeżenia. Jeśli w pewnym momencie dotknie spraw bolesnych, trudnych, ciemnych w życiu narodu, w życiu społecznym, zauważy wycieńczające, skazające „Zapalenie płuc i rumowiska”, a wcześniej „nakładanie ciężaru na dźwięk aby włók się zgarbił” („Zejście do wyrobiska”), to uczyni to z pozycji: obywatela, z pozycji świadka zachowującego godność, szczerzącego się wiarą w humanistyczne wartości. Jego widzenie nie dopuszcza elementu podania się upokorzeniu, znieoleniu, hanbie, nędzy losu. Morawski dba, mimo wszelkich przeciwności, o jasność własnego widzenia, własnej postawy. Raczej będzie się zrywał na zamulającą go bełkotliwą współczesność, bełkotliwych ludzi o przyziemnych nawykach, niż dopuścił by magmą i chaos określił strukturę jego przeżycia.

Światopogląd Morawskiego cechuje akceptacja racjonalności w ludzkim postępowaniu. Nie ma tu miejsca na żadną demonologię, ani też na uproszczenia czarno-białej moralistyki. Jego moralistyka ma odniesienie do myśli filozofów starożytnych. Zwraca się ku obiektywnemu prawidłu wolnemu od doraźności. Jest w „wej istocie uniwersalna. Taka postawa oczywiście wynika ze światopoglądu optymistycznego, z wiary w konstrukcję, w opowiadanie żywiołów, nawet tych najbardziej niebezpiecznych, niszczących.

Trzeba też powiedzieć, żeby nie pominąć idei wydawanych w Muzeum zbiorów, że w przestrzeni „Słów w drewnie i kamieniu”, spotkały się trzy podobne (nie znaczy to, że takie same) osobowości: Morawski z poezją afirmującą ciężar i twardość doświadczenia, Józef Cyganek z rzezbami, wymagającymi żmudnej pracy i Jan Muszyński, który napisał słowo wstępne, gdzie została wyrażona akceptacja takiego właśnie stosunku do materii świata. Żeby szczerz i zobrazować ten problem, należałoby przywołać w tym momencie plastyczne katalogi Muszyńskiego, a zwłaszcza o sztuce Andrzeja Gieragi i Mariana Kruczkę. Myślę, że w ten sposób powstała wartościowa publikacja, traktująca o świecie, w którym żyjemy.

CZESŁAW SOBOKOWIAK

Zdzisław Morawski: Słowa w drewnie i w kamieniu. Ilustracje Józef Cyganek. Autor wstępu Jan Muszyński. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 1987, s. 42.



## DIABELSKIE JEST PIĘKNE...

Wydawnictwo Poznańskie po raz kolejny raczy nas wyborem podań i baśni lubuskich, zaczerpniętych z tomu pt. „Złota działa Bolesława” pod redakcją Janusza Koniusza.

Zbiór zatytułowany „Zelazny diabeł” jest rzeczywiście tematycznie... diabelski. Mamy tu „Chciwość Mefista”, „Bułeczki diabła Buły”, „O wojaku i diabła”, „Diabelskie sprawy”, „O mistrzach świebodzińskich”. Spotkanie diabłów” itd. Diabły na swój sposób są niegroźne. Czynią zło, lecz opowieści nigdy nie kreuje ich jako demony. Nic tu z magii „Dziecka Rosemary” lub potworności „Mnich”. Wszystko, co niebezpieczne, przefiltrowano przez język i obrazowość dostępną młodemu czytelnikowi. Dochodzi do sytuacji, gdy potwory zostają oswojone i udomowione.

W podaniach roi się o lubuskich nazw miejscowości i rzek. Czytamy o Łagowie, Lubniewicach, Torzymiu, Zarach, Gubinie, Zaganiu, Nietkowie. Ale przy „lubuskości” i regionalizmie sztafażu — opowiadania mają ważną zaletę ogólności. Zdarzenia z Międzyzdrzecz, Krosna czy Zielonej Góry — mogły zaistnieć prawie wszędzie. W tym wypadku regionalizm nie „upupa” opowieści, raczej uściśla ich miejsce i czas. Oto, diabelskim sztuczkom zawdzięczamy mamy przybycie niemieckich wielmożów, przetrząsanych von Schönaichów, w nasze strony i osiedlenie w polskich ongi miastach

i zamkach. Jedynie opowieść o Zaganiu nosi znamiona prawdopodobieństwa i jest autentyczna wobec innych baśni. Rzecz dotyczy powstania maskarad z dobiegających pałac Łobkowitzów. Utalentowany rzeźbiarz, Jan Boreta, został zobowiązany do wykucia kamienych twarzy. Warunkiem, jaki postawił książę-zleceniodawca, była niepowtarzalność rysów i grymasów. Artysta nie mogąc podołać zadaniu, wezwał na pomoc diabła. Zaprzędał swą duszę, a czart tymczasem pozował rzeźbiarzowi, nieustannie zmieniając oblicze. Gdy zabrakło wreszcie inwencji — do wyrzeźbienia pozostał jeden maskaron. Diabeł nie chciał pokazać swej prawdziwej postaci. Nie wypełnił tym samym warunków umowy — Boreta nie ukończył zlecenia. Przechytrzył artysta diabła i ocalał życie. Utracił jednak duży zarobek i musiał uciekać przed gniewem księcia zagąńskiego. Jeden pałacowy maskaron nie doczekał się ludzkiej pości.

Jakie są diabły według lubuskich przekazów? Wydaje się, że takie same jak diabły śląskie, litewskie, włoskie. Przebiegłe, silne, żądne władzy, niesyte skarbów, psotne lub złośliwe. Regułą jest, iż bardzo rzadko zwyciężają człowieka. Bardzo sprytnie, są często zbyt mocno zajęte zdobyciem kolejnej duszy do piekła, aby do samego końca zachować trzeźwość i logikę myślenia. Dają się okpić i wykreślić sianiem w sytuacjach, kiedy, zdawałoby się, człowiek stoi na przegranych pozycjach. Wygrawa zatem stary Wojciech, rycerz spragniony winą, który cyrograf podpisał krwią swego ugrzyzonego przez muchę, wierzchowca. Podobnie, sprytem — wygrał, zdawałoby się, głupi owczarz. Ten zawarł pakt z diabłem na skrócenie drogi z łąki poprzez zbudowanie traktu na jeziorze. Przyczajony w lesie owczarz usłyszał rozmowę dwóch czartów, przepowiadających jego śmierć o świcie, tuż po usypaniu drogi. Udał czym prędzej chłop koguta i przerażliwie, gozdnie przed wschodem słońca, zapiał. Oznajmił diabłu koniec pracy. Kolejny bohater uratował swoje życie, a wsi przysporzył diabelskiego półwyspu.

Tytułowe opowiadanie „Zelazny diabeł”, opracowane przez H. Rutkowską, przypomina baśń o silnym i odważnym kowalu, który zadrwił z diabłów i zwyciężył samego Lucyfera. A wszystko to za sprawą postaci wykutej z żelaza na podobieństwo władcy piekła. Michał walczył z diabłami bronią nieludzką, a właśnie diabelską — w nieskończoność dręczył i torturował swego diabła i nie dał się wywieść w pole najsprytniejszym wysłannikom Lucyfera.

Do czartowskich spraw zakradła się też polityka. Jak przystało na opowiadanie lubuskie, ma ono wymiar konfliktu polsko-niemieckiego. Raz Boreta nie chce przepuścić przez swe tereny Mefistofelesa, innym razem diabelski osiołek ciągnął wózek z niemieckimi grafami zahaczal o szczyt Bukowca i wielu Niemców rozsypano się na polskiej ziemi. W „Diabelskich sprawach” nadeszła chwila, w której Lucyfer osadził, iż przebrała się miarka diabelskich niegodziwości. Ofiarą gniewu padł niemiecki namiestnik, Arglist, o którym stwierdzono, że „działal z premedytacją, co było okolicznością obciążającą dodatkowo (...); nakłanianie margrafów do mordowania Słowian i grabienia ich mienia niewiele przyniosło korzyści, bo ofiary nie zostały potępione”.

Nawet „ciemny” świat rządzi się prawami, ma hierarchie, ważności i stałe wartości. Pozwoliło to autorom opowiadań na uprawianie dydaktyzmu, który na szczęście, nie jest zbyt natarczywy. Dzięki temu diabły też mogą ludzi nauczyć pokory i dobra. Nauzka, jaką nieznajomy diabeł dał świebodzińskim mistrzom i kupcom, pozwalającym się porwać na wyprawę po złoto, jest świadectwem, iż pisząc o diabłach i ludzich można akcentować dobra i zła przemierzając, niekoniecznie z korzyścią dla ludzi. Uprawdopodobnia to wypowiedź, wzbogaca o elementy satyryczne.

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

„Zelazny diabeł oraz inne podania i baśnie lubuskie”. Wybór z tomu pt. „Złota działa Bolesława” pod redakcją Janusza Koniusza, wyd. 1970 r. Ilustrował Jan-Marcin Szancer. Wydawnictwo Poznańskie 1987.

## NOWOŚCI WYDAWNICTWA POZNAŃSKIEGO

- Antoni Czubiński: Rewolucja Październikowa w Rosji i ruchy rewolucyjne w Europie lat 1917—1921. Wyd. I; 318 str. Nakład 2000 egz. Cena 300 zł.
- Janusz Koniusz: Z Kaina i Aba. Wydanie I, 108 str. Nakład 1500 egz. Cena 100 zł.
- Olga Larionowa: Lampart ze szczytu Kilimandżaro. Powieść. Planeta, która nie może nie dać. Mała opowieść. Przekład z rosyjskiego: Ryszarda Wilczyńska. Seria „SF”. Wyd.

- I; 250 str. Nakład 30 000 egz. Cena 280 zł.
- Aldona Narkiewicz: Uzdrowisko. Wydanie I; 62 str. Nakład 650 egz. Cena 80 zł.
- Łęgosław Polak: General Stanisław Taczak 1874—1960. Wyd. I; 192 str., ilustracje, szkice. Nakład 4000 egz. Cena 260 zł.
- Janusz Przybysz: Zapiski untermensch. Wyd. III; 181 str. Nakład 10 000 egz. Cena 190 zł.
- Pieśń nad pieśniami. Poemat biblijny. Przekład z hebrajskiego: Roman Brandstaetter. Grafika Andrzeja Jeziorowskiego. Wyd. I, 52 str. Nakład 40 000 egz. Cena 260 zł.
- Safona. Pieśni. Przekład z greckiego: Nikos Chadzinikolau. Grafika Józefa

- Petruka. Wyd. I; 102 str. Nakład 30 000 egz. Cena 300 zł.
- Robert Walser: Jakub von Gunten. Dziennik. Przekład: Małgorzata Łukasiewicz. Wyd. I; 122 str. Nakład 10 000 egz. Cena 170 zł.
- LITERATURA DLA DZIECI
- Helena Gordziej: Zegarynka. Ilustracje Włodzimierza Włoszkiewicza. Wydanie I; 20 str. Nakład 150 000 egz. Cena 48 zł.
- Hans Peterson: Magnus w niebezpieczeństwie. Przekład ze szwedzkiego: Teresa Chłapowska. Ilustracje Jolity Karwowskiej-Wnuczak. Wyd. II; 196 str. Nakład 80 000 egz. Cena 210 zł.
- Anna Swirszczynska: Szumia, lase nad Gopiem. Wyd. I; 31 str. Nakład 140 000 egz. Cena 120 zł.



# Przygraniczna współpraca

Ostatnio spotkali się w Bad Saarow (NRD) działacze przygranicznych okręgów „Kulturbundu” i regionalnych towarzystw kultury ziem zachodnich. Organizatorem i gospodarzem po raz pierwszy były władze centralne „Kulturbundu” w Berlinie. Ze strony polskiej przygotowaniem do spotkania kierowała Narodowa Rada Kultury.

W spotkaniu uczestniczyli prezesi i sekretarze regionalnych towarzystw kultury z Koszaliny, Torunia, Szczecina, Gorzowa, Wrocławia, Jeleniej Góry, Opoli i Zielonej Góry. Stronę NRD-owską reprezentowali pierwszy sekretarz i członkowie kierownictwa okręgowych zarządów „Kulturbundu” z Drezna, Halle, Lipska, Cottbus, Poczdamu, Frankfurtu nad Odrą, Neubrandenburga, Rostoku. Grupie NRD – przewodniczył zastępca przewodniczącego Centralnego Zarządu „Kulturbundu” prof. dr Karl Heinz Schulmeister, delegacji polskiej – wiceprzewodniczący Narodowej Rady Kultury doc. dr Czesław Niedzielski.

Seminarium było jedną z form współpracy określonej porozumieniem między

Narodową Radą Kultury a Kulturbundem podpisanym w grudniu 1957 r. w Berlinie.

Na program parodniowego spotkania złożyły się wystąpienia przewodniczących obu delegacji charakteryzujące działalność i jej organizacyjne podstawy Kulturbundu i NRK. Główną jednak osnowę obrad stanowiły głosy przedstawicieli partnerskich towarzystw oświadczające nie tylko wieloletnią współpracę, jej dorobek ale także formy pracy i jej efekty w miejscu działania stowarzyszeń. Z tej wymiany poglądów i doświadczeń wyłonił się obraz bogatej i różnorodnej działalności regionalnych towarzystw kultury w zachodnich regionach naszego kraju jak też – różniące się strukturą i zakresem działalności „Kulturbundu”. Było to więc swego rodzaju jeszcze gruntowniejsze wzajemne poznanie się, a także wzbogacenie oferty współpracy regionalnych towarzystw z Okręgowymi Zarządami „Kulturbundu”. Dyskusja wskazała na konieczność wypracowania nowych zakresów współpracy, podniesienie jej jakościowych walorów, a także wyjście po-

za międzywojewódzkie rewiry. W tej osłabionej sprawie sprzyjać będzie podpisana umowa między kierownictwem NRK i „Kulturbundu”. Obie grupy działaczy zgodziły się, że dojrzała już sytuacja do organizowania dwustronnych spotkań dyskusyjnych na tematy z własnej historii, kultury, tradycji i dawnych związków kulturalnych, nie zaniedbując dokonania współczesności. Wskazano także na potrzebę wspólnych działań na rzecz ochrony dziedzictwa kulturalnego obu krajów, ochrony naturalnego środowiska człowieka. Niezależnie od tej problematyki ze strony NRK padły propozycje wspólnego ze stroną niemiecką podjęcia tematów wykraczających poza dotychczasową współpracę międzywojewódzką, jak np. funkcjonowanie towarzystw kulturalnych w dużych ośrodkach miejskich ośrodkach wielkopremysłowych, regionalne towarzystwa kultury a żywy folklor.

W 1989 roku przypadają ważne w życiu obu państw rocznice: 45-lecie Polski Ludowej i 40-lecie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Obie strony wykorzystają bogate treści wynikające z tych rocznic w swej działalności, prezentując w różnych formach dorobek społeczno-gospodarczy, kulturalny a także dokumenty wieloletniej przyjaźni, jaka łączy oba narody. Spotkanie w Bad Saarow zawierało więc nie cenny poznawczy treści, służyło przyjaźni, dało także impuls do dalszej, żywej współpracy.

J.d.

## Pierwszomajowe święto

Przy pięknej pogodzie obchodzono w Zielonogórskim i Gorzowskim 1 Maja. W tradycyjnych pochodach, w których dominowała młodzież, opowiadano się za koniecznością niezbędnych reform w życiu kraju, ładem i pokojem społecznym. W przeddzień robotniczego święta najbardziej aktywni i zasłużeni ludzie pracy spotkali się z kierownikami partyni – państwowymi obu lubuskich województw. Odbyły się liczne imprezy kulturalne. Dla większości była to udana niedziela.

## Dni Kultury

Rozpoczęły się Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. W Gorzowie zainaugurował je koncert orkiestry „Odeon” pod dyktando Szczepana Kaszyńskiego. W Zielonogórskim województwie inauguracyjnie odbyła się 4 maja w Brodaczach Złoty wiek – nia sesja popularna – naukowa nt. historii i dnia dzisiejszego tej miejscowości. Rozpoczęły się też Gubińskie Dni Regionalne – „Wiosna nad Nysą”. Jubileusz XXXV-lecia obchodzili zasłużeni i popularni nie tylko na Ziemi Lubuskiej – Lubuski Zespół Pieśni i Tańca. W licznych klubach „Ruch” i bibliotekach w województwie zorganizowano wystawy prac plastycznych dzieci uczestniczących w ogólnopolskim konkursie „Gdybym był pisarzem i malarzem”. To tylko niektóre z imprez bogatego programu „Dni”.

## 3 maja

Szczególnie uroczyste w tym roku obchodzono 3 Maja – 197 rocznicę uchwalenia Konstytucji, zarazem Święto Stronnictwa Demokratycznego, które obchodzi swoje 50-lecie. Na akademii, festynach i manifestacjach spotkali się członkowie Stronnictwa, a także, inteligencja. Akcentowano zapis artykułu V z 3-Majowej Konstytucji – „Caość państwa, wolność obywatelska i porządek społeczny w równej mierze, aby na zawsze zostały”. Wcześniej obchodzono święto lubuskiego rzemiosła. W Zielonej Górze odbyło się uroczyste posiedzenie Rady Izby Rzemieślniczej, otwarto nowo zbudowany Dom Rzemiosła Spółdzielczego.

## Co w reformie z kulturą?

Odbyło się w Zielonej Górze posiedzenie Rady Lubuskiego Towarzystwa Kultury, poświęcone omówieniu sytuacji kultury w drugim etapie reformy gospodarczej, ze szczególnym uwzględnieniem kondycji społecznego ruchu kulturalnego.

W obradach uczestniczyli działacze LTK z województwa oraz zaproszeni goście – członkowie Rady Państwa i przewodniczący sejmowej komisji kultury Piotr Stefański oraz sekretarz KW PZPR Krzysztof Kaszyński. Zarówno w wypowiedzi P. Stefańskiego jak i w innych głosach w dyskusji dominowało zaskoczenie o dalsze losy kultury, uzależnionej przecież nie tylko od stopnia społecznej aktywności, lecz również od możliwości gospodarczych państwa.

W podjętej Uchwale Rada „akceptuje” przedłożone w referacie Prezydium propozycje kierunków pracy LTK i towarzystw sferowanych, a w szczególności uważa za konieczne czynniki włączenie się do kampanii wyborczej do rad narodowych oraz godne uczczenie rocznicy 70-lecia odzyskania niepodległości i 200-lecia Sejmu Czterechlecia. Rada apeluje do wszystkich towarzystw sferowanych o przeanalizowanie ich możliwości działania w drugim etapie reformy gospodarczej i poczynienie starań, aby okres bieżący nie tylko nie osłabił ruchu regionalnego, lecz aby dodał mu nowych form opartych o prawdziwie społeczne inicjatywy.

Rekomendowano również kandydatury na radnych WRN: Alicję Karpowicz – sekretarza LTK, dr Barbarę Kołodziejską – dyr. Muzeum Etnograficznego oraz Jerzego Jana Szyndera – dyr. Państwowej Szkoły Muzycznej w Nowej Soli.

## Zielone Grono

Nagroda twórcy młodych – „Zielone Grono” przyznawana przez Zarząd Wojewódzki ZSPM w Zielonej Górze stała się już dobrą tradycją. W tym roku przyznano ją: Jerzemu Markiewiczowi – za dokonania artystyczne i znaczącą rolę w życiu muzycznym regionu; Mirosławowi Hajnosowi – za całokształt działalności plastycznej; Roman-



nowi Krzywotulskiemu – za działalność upowszechnieniową i kształcącą w dziedzinie teatru i literatury; dr Andrzejowi Buckowi – za osiągnięcia w pracy naukowej i dydaktycznej; dr Adamowi Nadolnemu – za osiągnięcia w pracy naukowej i wychowawczej. Nagrody ufundowane zostały przez ZW ZSPM, LTN, LTK, Wydział Kultury UW w Zielonej Górze. Gratulujemy!

## 45 rocznica powstania

### w getcie warszawskim

Obchodzono ją w Żarach, gdzie spotkali się przedstawiciele społeczności żydowskiej z terenu województwa zielonogórskiego. O uroczystościach rocznicowych w Polsce i za granicą mówił Maurycy Kajler – wiceprzewodniczący Zarządu Głównego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce a zarazem sekretarz żarskiego oddziału tego Towarzystwa. Przypomni on, iż na Ziemi Lubuskiej mieszkają ludzie, którzy w latach hitlerowskiej okupacji i prześladowań, ryzykując życiem, nieśli pomoc i ratunki Żydom. Otrzymał on medale „Sprawiedliwi wśród narodów świata” przyznane przez Jerolimski Instytut Yad Vashem. Są to: Zofia Pasternak, Irena Urbach, Brygida Kafar, Andrzej Burko, Jan Pietkun.

## Bachanalia '88

Po okresie niakoci zielonogórscy za cy przypomineli się, fundując sobie i mieszkańcom miasta szereg ciekawych i udanych imprez, o których mówiło się nie tylko w środowisku studenckim. Chwała za to ich organizatorom i wykonawcom. Oby dalej w tym kierunku, wszak warto kontynuować tę tradycję.

## Przychylne muzy

W XIX Międzynarodowym Konkursie na rysunek satyryczny w Skopje (Jugosławia) organizowanym przez redakcję pisma „Osten” pośród licznej konkurencji nasz redakcyjny kolega Leszek Hermanowicz otrzymał Nagrodę Specjalną.

Z kolei w konkursie poetyckim o „Laur Miedzianego Amora” organizowanym w ramach IV Lubuskiego Spotkania z Literaturą Miłosną w Lubinie, Danuta Kuleszyńska – Mystkowska zdołała I nagrodę za zestaw wierszy oraz nagrodę specjalną. Gratulujemy!

## Zaprosili nas

Cześć osławski Ośrodek Kultury i informacji w Warszawie na organizowane przez siebie imprezy (dziękujemy za pamięć i wytrwałość). Zarskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego na uroczystość nadania imienia Władysława Gomułki, RSW „Prasa-Książka-Ruch” Oddział w Żarach na VI Regionalne Spotkania Dziecięcych Zespołów Teatralnych klubów prasy i książki. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze na sesję naukową nt. aktualnych problemów kultury języka polskiego, WIMBP w Zielonej Górze na otwarcie wystawy „Białe kruki w zbiorach zielonogórskiej księżnicy”. Komitet Organizacyjny międzynarodowego splotu kajakowego na Bobrze na uroczystość zamknięcia imprezy, KMPIK w Zielonej Górze na otwarcie wystawy fotograficznej Tomasza Gawalkiewicza.

Nadodrze (sekretarz red.) Ryszard Rowin ski, Alfred Siatecki, Korketa, Maria Fiedorczak, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji: Elżbieta Walenska, wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 23 65-012 Zielona Góra skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna 38 61 do 67 Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz tel. 217 95 Druk. Brankmaria Prasa ZWP 65 016 Zielona Góra al. Reja 5 Ogłoszenia przyjmują: „Turk Reklam” Ogłoszenia Zielonogórskie, Wydawnictwo „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i fotofors) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja przetrzeza sobie prawo skróć i zmian tytułów.

Z-20

# nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY – PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa 40. Telefony: redaktor naczelny – sekretariat 708 35 sekretarz redakcji 19 13 oraz centrala 18 61 do 7. Druk: telefon wewnętrzny Telex 943225. Redaguje zespół Halina Anska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Janusz Koniusz, (red. naczelny), Zdzisław Łukasiewicz (z-ca red. naczelny), Wiesław



## Miecz śmierci

Jest rok 1525. Japonia samurajów i szogunów. Młody samuraj walczy z odziałem żołnierzy; trafiony strzałą spada z wysokiej skały do obładowanego zbroją. Tak zaczyna się ten amerykański film, którego akcja przenosi się w czasy współczesne i wbrew początkowo sugerującemu, że „Miecz śmierci” będzie kolejnym filmem o samurajach, zasadnicza akcja tego obrazu rozgrywa się współcześnie w Los Angeles. Dlaczego w Los Angeles? Jest to słodka tajemnica scenarzysty i reżysera. Jeszcze w Japonii, zamrożone w bryle lodu ciało samuraja, który zginął na początku filmu, odnajduje para japońskich speleologów. W jaki sposób ciało samuraja, trafia do USA, tego, widz się nie dowiaduje. W każdym razie grupa amerykańskich naukowców podejmuje próbę przywrócenia życia samurajowi. Eksperyment kończy się powodzeniem. Któregoś nocy samuraj zostaje sprowokowany przez pilnującego go pielęgniarza, za-

bija strażnika i wydziera się na ulicę. Z przestępstwem, a raczej zdzwieniem ogłuszenia, przejeżdżającą samochodem i wszystkie inne „cuda” XX wieku. W pewnym momencie widzi czterech bandziorów napastujących starca. Po chwili na ulicy leżą cztery trupy z rozprutymi brzuchami. Samuraja zacy na poszukiwać policja, jest ścigany przez personel instytutu naukowego, z którego uciekł. Naukowcom nie wiadomo z jakiego powodu zależy, aby sprawa eksperymentu ze średniowiecznym Japończykiem nie wyszła na jaw. Po ścisłej kończy się zastrzeleniem samuraja.

Film miał szansę być dobry, ale jest poniżej przeciętności. Niekonsekwencje scenariusza i zwyczajne niechlujstwo realizatorów (kilka razy widać u góry ekranu sterujący mikrofon) sprawiły, że film rozczarowuje. Ciekawie prezentuje się japoński aktor Fuioko i muzyka stylizowana na starą japońską muzykę ludową.

## Schneider II

Robert Mitchum i Richard Burton – te dwa nazwiska herosów minionej epoki kina powinny wystarczyć za rekomendację. Rzecz dzieje się w końcu wojny II wojny światowej, Bur-

ton gra tytułowego sierżanta Wehrmachtu Schneidera. Jest znużony wojną i bezsensownym zabijaniem. Po wyłączeniu alianów w Ardenach sprzeciwia się rozkazowi wysadzenia jednego z miasteczek. Czynnie popiera wkraczających do miasta amerykańskich żołnierzy. Na zakończenie w symbolicznym geście ciska karabinem o ziemię i odchodzi w „sina dal”.

Filmu i pokazanej w nim wojny nie należy traktować zbyt serio, jest to po prostu kolejny pretekst do filmowych fajerwerków i strzelaniny.

FAN

PS. Mam przyjemność poinformować wszystkich sympatyków wideo i jedno cześnie kibiców piłkarskich, że w RFN wyprodukowano kasety z filmową historią mistrzów świata w piłce nożnej. Zapewne już w najbliższym czasie kasetę ta stanie się prawdziwym przebojem również na naszym – co prawda nieformalnym – ale jednak rynku. Jest to kolejny przykład szerokiego i ciągle nie wykorzystanych możliwości, jakie stwarza aparatura wideo.

Bez przyjemności informuję, że w e-nę kasety produkowanej przez gorzowski „Stilon” jest wliczony podatek od luksusu. A oto jest przykład „myślenia” osób, które taki podatek wykombinowały. Czekamy na podatki od luksusu w cenach podręczników, tornistrów, kredki, licydeł i gumek „myszek”.

## Pocztą posłańcza

życia mieszkańców miasta. Następnego dnia przystąpiono do tworzenia nowych władz miejskich, w których zasiadli w większości niemieccy antyfaszyści.

W rozbitym i zniszczonym mieście na 188 urzędów pocztowo-telekomunikacyjnych pozostało zaledwie 60, w większości zdewastowanych. Trudne więc zadanie miał Ernst Kehler – odpowiedzialny radca za sprawy poczty. Na wezwanie do rejestracji spośród 63.000 pocztowców zgłosiło się zaledwie 7.800 osób, w większości kobiet. 20 maja 1945 r. odbyło się pierwsze posiedzenie Magistratu Berlina. Postanowiono z dniem 22 maja 1945 r. zorganizować łączność pocztową między poszczególnymi dzielnicami. 26 maja 1945 r. odbyła się narada funkcyjnych pracowników poczty. Przy było na nią 106 naczelników, ale tylko 21 zatwierdzono do pracy.

16 maja 1945 r. uruchomiono pocztę posłańczą Magistratu Berlina jako pocztę służbową cywilnych organów samorządowych. Przesyłki listowe były zaopatrzone w pieczęć miejską oraz napis: „Sprawa służbowa Magistratu! Na tychmiast przez umyślnego posłańca do starych”. Ta pocztą posłańcza mieściła się w siedzibie Magistratu (Parochialstr. 1-3), gdzie wydzielono jej specjalne pomieszczenia. Podobną inicjatywę, ale znacznie wcześniej, podjęły niektóre dzielnicowe władze. I tak już 7 maja 1945 r. w dzielnicy Berlin-Treptow burmistrz poinformował wszystkich przedstawicieli terenowych urzędów, że zorganizował pocztę posłańczą. Podobnie było w dzielnicy Neukoln. Te poczty zo stały następnie włączone do sieci ogólnie miejskich połączeń.

Równoległe dla obsługi ludności uruchamiano poszczególne urzędy i placówki pocztowe. 18 maja 1945 r. utworzono połączenia sztafetowe. 16 połączeń sztafetowych łączyło duże urzędy pocztowe centrum: 7 (Dorotheenstrasse), Berlin 017 (Fruchtstrasse – dzisiaj ulica Komuny Paryskiej). Berlin-Charlottenberg 2 z urzędami pocztowymi na peryferiach miasta. I tu najpierw pieszko, ale także na rowkach posłańcy przenosili przesyłki pocztowe równocześnie zabierając listy skierowane do mieszkańców centrum. Pocztą sztafetową w niedługim czasie została zastąpiona przez normalne połączenia pocztowe. Należy dodać, że również przesyłki służbowe były przenoszone przez pocztę sztafetową i mają one często od ciski stempli poszczególnych urzędów pocztowych.

Regularna łączność pocztowa odtworzona została w Berlinie 2 sierpnia 1945 r. Ten trzymiesięczny okres poczty posłańczej dostarczył filatelistom dokumentów, które dzisiaj są ozdobą każdego zbioru z zakresu współczesnej historii poczty berlińskiej.

M. SŁAWOMIR

## KONKURS NA WSPOMNIENIA GORZOWIAN – ROZSTRZYGNIĘTY

Rozstrzygnięto konkurs na wspomnienie mieszkanców Ziemi Gorzowskiej z lat 1975-85 organizowany przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury i Radę Wojewódzką PRON w Gorzowie Wlkp. na który wpłynęły prace w formie pamiętników, wspomnień, dzienników i powieści. Ich autorami są przedstawiciele różnych pokoleń i zawodów. Jury pod przewodnictwem Alfreda Gmerka, sekretarza Rady Wojewódzkiej PRON w Gorzowie Wlkp. przyznało I nagrodę w wysokości 30.000 zł. Ponadto Zbigniew z Drezdenka. Dwie drugie nagrody po 20.000 zł każda otrzymali: Tadeusz Kurczyna z Wierzbicy koło Myśliborza i

Janusz Oleczak z Lubina, który przez wiele lat mieszkał w Skwierzynie. Przyznano również wyróżnienia po zł. 10.000 każde. Otrzymali je: Wojciech Kleszka i Józef Cabaj z Drezdenka, Zenon Smigielski ze Strzelec Kraja, Wiesław Drewnicz z Choszczyna oraz Kazimierz Janowski, Jerzy Duda, Zbigniew Daracz z Gorzowa Wlkp. Nagrodę specjalną – puchar ZPJ „Silwany” otrzymała Sabina Depeczyńska z Gorzowa Wlkp.

Organizatorzy zamierzają podobny konkurs ogłosić za trzy lata.

Wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym serdecznie gratulujemy.



# PosTAWY

Spotkali się po czterdziestu czterech latach. Czterdziści i cztery — jak u Mickiewicza, zauważyła jedna z uczestniczek spotkania. Literacki paradoks. Mówi się, że nasze pokolenie nie odczuwa już takich spraw — liczy się szmal, liczą się „marmurki” na tyłku. Ale to tylko zemsta historii. Te sprawy, ci ludzie pokazani w telewizyjnym reportażu poruszają, zmuszają do refleksji. Na leżeli do jednego z największych zgromadzeń partyzanckich w kraju. Walczyli w Górach Świętokrzyskich pod dowództwem legendarnego „Ponurego” i jego następcy „Wilka”. Do tej pory nie mieli prawa do publicznej prezentacji, do 1957 roku nie było mowy o spotkaniach, nie mieli prawa do swojego życiorysu. W tych starszych paniach i panach nie widać rozgoryczenia; żartują, są pełni werwy i radości życia. Historia spłaca im dług w drobnych ratach. Pokazuje się ich w telewizji, pisze o nich książki; już można.

Pewien warszawiak powiedział, że wszystko zależy od bramy. Uzasadził to. W czasie powstania warszawskiego (miało się nazywać sierpniowym) uciekał z koleją przed strzelającymi Niemcami — on schronił się do bramy, w której ostrzeliwano się oddziały AK, jego kolega do drugiej, z żołnierzami AL. Kolega warszawiaka, choć przypadkiem, wskoczył o wiele „właściwiej”. Po wojnie zrobił zawrotną karierę. Ten „niewłaściwej” bramy najlepsze lata poświęcił na

## Wskoczyć do właściwej bramy

udowadnianie, że nie jest zaplutm karłem reakcji. Paradoksy historii.

Kazimierz Moczulski, autor „Rozmów z katem”, siedział w jednej celi ze znanym i nawiązanym wrogiem. Sukces jego książki, tuż przed śmiercią autora, opłacony był zachwianiem się kariery kilku odważnych osób, które przyczyniły się do jej wydania.

Trwa rozliczanie historii. Węgrzy rozliczają się z nią od ponad trzydziestu lat i ciągle rachunek jest inny. My nie możemy jeszcze zdecydować się, czy biskup Stanisław Węgrzyski zdradził, czy też męczennikiem. Węgier Laszlo Gyurko w powieści „Błogosławione piekło” opowiada o demagogicznym okresie życia państwa i narodu przez pryzmat dziejów jednego losu ludzkiego. Jest w tej powieści wiele gorzkiej ironii, wiele faktów. Jedno z ostatnich zdań, w kontekście całości, ma wydźwięk ironiczny; jest ono komentarzem do całej powieści, do przemówienia nad grobem bohatera, mowy wychwalającej jego zasługi i polityczne wybory. (...) historia bowiem pozostawiła to zagadnienie do rozstrzygnięcia po tamtych. Ten bohater też przypadkiem „wskoczył nie do właściwej bramy”. Był bity za politykę przez policjantów, później był bity przez innych policjantów za to, że był bity przez tamtych, a i dzieci, gdy dorosły, nie pozostały mu dłużne. Ale w sumie w losie

bohatera między jednym biciem a drugim było wiele życia i taka jest też wymowa tej powieści.

Inaczej rzecz stawia nasz autor ukrywający się pod pseudonimem Lost. W powieści „Bastard”, zresztą bardzo dobrze napisanej, wszystko jest parszywe i gówniane; przeszłość idiotyczna, teraźniejszość mroczna, przyszłość apokaliptyczna. Nawet pochodzenie społeczne bohatera jest niejednoznaczne: urodził się chłopkiem, ale spłodził hrabia. Miota się ten nasz bohater, aż popełnia samobójstwo.

W pokoleniu dzisiejszych trzydziestolatków nie ma już tak dramatycznych wyborów politycznych. Rzecz raczej sprowadza się do wyborów typu merkantylnego. Od dziecka faszerowani ideałami, mamieni fetyszem wykształcenia, na tykamy się na ludzi „sukcesu”, założycieli firm „dwie łopaty i kilof”. Dziś mówi się, że kraj potrzebuje ludzi przedsięwziętych, przez co rozumie się agentów, agentów, producentów. Moje książki z dawnymi ideałami miały się między wyższą uczelnią a miotłą do zamiatania peronów. Nie są kompatybilni z rzeczywistością. Czy moi koledzy rozrzucony po świecie „wskoczyli do właściwej bramy”? Historia to rozstrzygnie, choć historia ma w takim samym poważaniu moje wnętrza, jak wnętrza kury dziobającej na podwórku.

PIOTR PIOTROWSKI

## namigi

Niedawno panienka z okienka TV zaszczebiotała, że nazajutrz, czyli w niedzielę o godz. 21.00 nadany zostanie program pt. „Jeśli chcesz, naucz się żyć”. Kto by nie chciał? Wzięłam notatnik i usiadłam przed telewizorem o oznaczonej porze.

Okazało się jednak, że nie jest to lekcja życia, lecz recital. Swe ballady śpiewała z gitarą Weronika Dolina, zaś tytuł programu brzmiał „Jeśli chcesz naucz się żyć”.

Nie należę do tych namiętnych telewizorów, którzy oglądają wszystko jak leci, ani też do tych leniwych, którzy wiozą żywy kapcie spędzają przed telewizorem czas przeznaczony na wypoczynek. Jednak któregoś wieczoru dotrwałam do końca programu, aż wyszła pewna spikerka, której bardzo nie lubię, bo widać, że się do mnie w sposób obrzydliwy i miasko, gdy mówi.

Przed laty irytowała mnie Krystyna Loska, ponieważ również wdziała się bez umiaru a przy tym wyglądała zawsze jak choinka w Boże Narodzenie. Teraz irytuje mnie ta właśnie wyżej wymieniona spikerka D.K.

Owego wieczoru D.K. miała pecha. Jakby jeszcze mało było fryzury niby pedzel — lawkowiec, to jeszcze zabarała do studia nie te kartki co trzeba, „Po-

## Nie tylko w telewizorze

myliłam papiery” — przyznała się, tuż po tym, dlaczego nie może telewizor przedstawić programu TV na dzień następny.

Nie jest żadnym nieszczęściem dla telewizorów, gdy zasną sobie przed telewizorem, nie dowiedziawszy się, co będzie w okienku nazajutrz. Można było zamiast pani D.K. z pedzlem nad czołem, pokazać np. przystojną redaktorkę „Siedmiu anten” Agnieszkę Matynię-Dąbrowską, gdy na teledysku reklamującym Loterię Dziennikarzy wyznaje, z czym jej się kojarzy „Błękitna”, a mianowicie z „Błękitną Rapsodią” Gershwi na. Można było. Ale stało się inaczej i spikerka D.K. dała plamę. Nie umiała zachować się w sytuacji nieprzewidzianej.

W tym momencie zatęskniłam za Krystyną Loską. Wykazała się bowiem ewidentną wyższością Krystyny Loski nad D.K. Pani Loska przedstawiała sobą co prawda image kiczowaty, ale pracę traktowała poważnie. Szanowała telewizorów. Cały program Telewizji Polskiej nadawany na dwóch kanałach, wkuwała na pamięć i recytowała bez ściągawki, patrząc telewizorom prosto w oczy! Nie pamiętam, aby się kiedyś za jąknęła, nie mówiąc już o pomyśle.

Gdyby Krystynie Losce zdarzyło się coś takiego, jak D.K. to dałaby głowę, że

umiałaby zaskoczyć telewizorom po wiedzieć coś sensownego w tonacji „I’m sorry”. Tego nie potrafiła uczynić spikerka D.K. Jedno, co jej przyszło do głowy, to udawać rozbowalenie. „Ha, ha, ha, ha, śmieszne, wzięłam nie te papiery co trzeba, ha, ha, ha...”

Od błędnych zapowiedzi w TV aż się roi. Od błędów językowych puchną i szyszy. Nie każdy jest docentem Miodkiem, to awda le każdy, kto w okienku pokazuje twarz, powinien się solidnie przygotować do swojej roli.

Piosenkarka nazwiskiem Dolina i tak miała szczęście. Panienka, która słowo „żyć” zmieniła na „żyć”, mogła przecież z doliny zrobić górę.

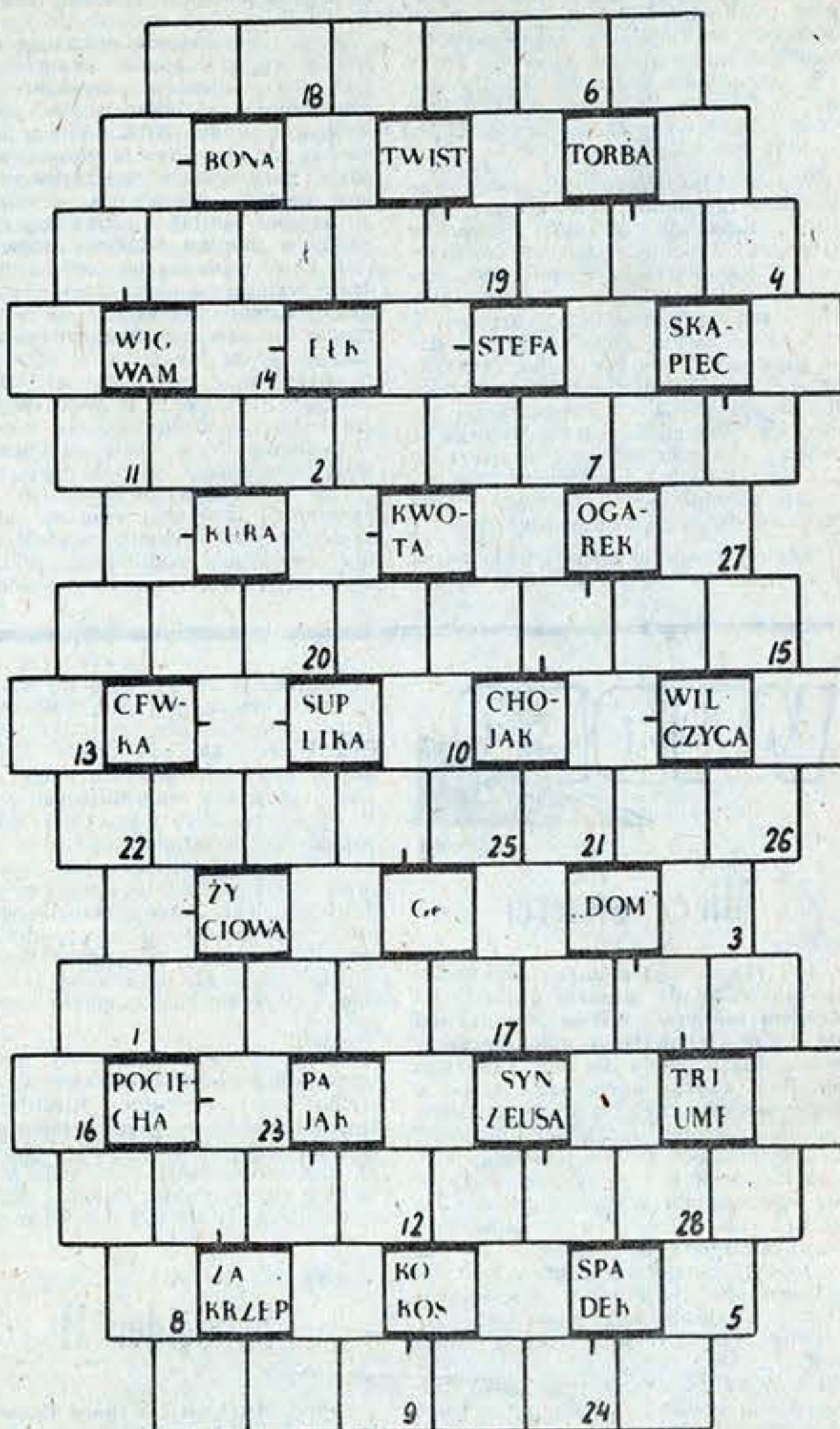
Jednego razu zdarzyło mi się być za powiadana przez szalenie popularnego i lubianego spikera telewizyjnego Jana Suzina, który tym razem występował w roli konferansjera. Pan ten zepsuł mi całą przyjemność, ponieważ zmienił mi imię na „Alina”. Pamiętam mu to do dziś.

Tych kilka przykładów zebrałam, a byśmy wspólnie pomyśleli o tym, co nazywa się rzetelnością. Brak jej daje się widzieć nie tylko w szklanej tafli telewizora.

HALINA ANSKA

# nadodrze

## ROZRYWKI UMYSŁOWE



## KUPON

ROZRYWKI UMYSŁOWE nr 10

WYKONAJ Z HASŁEM  
Oprac. WIESŁAW PIŻEWICZ  
(Zielonogórski Klub Szaradzystów LABRYS)

Kierunek wpisywania wyrazów — prawoskrętny. Litery z pół diagramu ponumerowanych od 1 do 28 utworzą przysłowie polskie, które prosimy przesłać na adres naszej redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony obok kupon. Do rozlosowania będą dwie nagrody książkowe wartości ok. 1000 zł każda.

„SPORT I WYPOCZYNEK W LZS” — to hasło stanowiło dodatkowe rozwiązanie krzyżówki z nr 8. Nagrody, które ufundowało Wojewódzkie Zrzeszenie Ludowe Zespoły Sportowe w Zielonej Górze, wylosowali: Antoni Zienkiewicz z Lubka — spiktor Zenon Wiśniewski z Zielonej Góry — malarz turystyczny Agnieszka Dąbrowska ze Szczecina w woj. gorzowskim — torbę turystyczną. Gratulujemy! Czytelniku z Zielonej Góry prosimy o skontaktowanie się z WZ LZS, ul. Podgórna 14, tel. 53-19; pozostałe nagrody LZS wysyłamy pocztą.

Uwaga: w poprzednim numerze w informacji o wynikach losowania nagród za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z nr 7 zabrakło nazwiska drugiego Czytelnika, któremu dopisało szczęście — Benedykta Walkowiaka ze Świebodzina. Nagrodę wysłaliśmy już pocztą. Za pominięcie przepraszamy.

## MaRGINAłki

POWAŻNIE — NIEPOWAŻNIE O KOTANSKIM. W „Szpilkach” (nr 16) panowie Szpak i So czak tak oto rozpoczynają swój stały felieton: „Okazuje się, iż Marek Kotanski, guru, dobrodziej, idol, pan Bóg, jedyny nasz zbawiciel i „za co mnie kochacie?”, nie jest wcale wytworem swojej własnej osobowości. Jest to typowy przykład polskiego myślenia bezmyślnego czyli niemyślenia myślnego. Domeną Kotanskiego są akcje, tak jak całego naszego społeczeństwa. Żeby się narodzić nie nudził, należy delikatnie wymóc na nim jakąś kolejną akcję, najlepiej w atmo.sferze hysterii... Nie sądzimy, żeby akcje Marka Kotanskiego były delikatne.

MAFIA SZKOLNA. „Głos Nauczycielski” (nr 18) przedrukowuje za „Polityką” reportaż Hanny Adamczak, zatytułowany „Mafia szkolna”. Redakcja „Głosu” nie uznaje metod mediacyjno-wychowawczych, prowadzonych drogą cierpliwego dialogu z młodzieżą. Proponuje w komentarzu „i publikacji: „W związku z powyższym apelujemy do wojewody miasta Elbląga (jest to jedyne miasto posiadające zamiast prezydenta — wojewodę — nasz przyp.), aby zaprowadził w szkołach stan... wojenny i zastąpił terrorizowanych przez uczniów nauczycieli wychowawcami w mundurach. Tylko oni bowiem są w stanie przyprowadzić ład, spokój i porządek w elbląskich szkołach”. A może pójść dalej i wszystkich skoszarować?

BITWA O RYNEK... TOALETOWY. W tygodniku „Veto” (nr 19) Halina Zarzec-

ka w cyklu „Bitwa o rynek” opisuje „Cud w Dobrzejowicach”, czyli trudności, jakie piętrzą się przed chcącymi prywatnie produkować papier toaletowy. Autorka pisze m.in.: „Rzemieślnicy są zainteresowani produkcją papieru. Pionier tej produkcji, Stefan Szymaszek z Kostrzyna nad Odrą gościł w swoim za kładzie wiele osób, które chciałyby otworzyć podobną wytwórnię. Niestety, spora kandydatów zrezygnowała”. A bo to jest nasza pierwsza bitwa, zakończona porażką?

ROBIC WKŁADKI. Tak zatytułowano w tymże tygodniku „Veto” list Doroty Szymańskiej z Sulechowa, która pisze m.in.: „Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego nie produkuje się bućków dziecięcych z wkładkami lub samych wkładek, czy to takie skomplikowane? Mój starszy syn nosił przez kilka lat bućki holenderskie, które w każdej parze miały wkładki (ortopedyczne — nasz przyp.). Nie stwierdzono u niego żadnych nieprawidłowości w ukształtowaniu stopy. Niestety, bućki zużyły się...”. Sądymy, że otrzymamy odpowiedź z Regionalnego Związku Spółdzielni Inwalidów.

TRWAŁY ŚLAD. Ryszard Giedroń w felietonie „Nie dość, że winien” („Fakty” nr 18) pisze o ewentualnych skutkach emitowania w dopołudniowych programach telewizyjnych serialu „Smurfy”. „W szkołach rzeczywistość może być pustawo, ale siła protestów będzie nieproporcjonalnie duża w stosunku do faktycznego zagrożenia, gdyż pozytywki z chodzenia do szkoły są dziś, co tu ukrywać, dyskusyjne. Prasa konfesyjna z miejsca zauważyła, że w „Smurfach” jest duży ładunek erotyzmu, a nawet wykorzystania szukała sobie partnera, miały wśród dorosłych większe powodzenie niż filmy z przerwami w reklamach „Różowej serii”.

Opozycja podkreśliła fakt, że Papa Smurf jest czerwony, a zwiolennicy lazu, porządku i bezpieczeństwa opozycję, eksponowanie w tak dużej dawce sytuacji, w których Gargamel goni „niebieskich”, bowiem może to budzić nieulaskawienie, zostawiając w psychice młodych ludzi trwałe ślady”. Szkoda wielka, że tak inspirując intelektualnie Smurfy zniknęły z małych ekranów, pozostawiając w naszym życiu pustkę i żal...

WYZNANIE ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO. W felietonie „Co zrachować, co zrozumieć?”, wydrukowanym w „Ziemie dla Żywych” (nr 18) Zdzisław Morawski wyznaje m.in.: „Od kilku lat należę do poznaskiego oddziału ZLP. W Gorzowie oddziału nie mam (żeby oddział powstał trzeba mieć przynajmniej 6 członków), do zielonogórskiego nie przystąpiłem po rozwiązaniu dawnego Związku, a zawiązaniu nowego. Dlaczego rozwiódłem się z Zieloną Górą? Adwokaci rozwodników mówią, że z powodów charakterologicznych — nieznoszę ze mnie najgorszy ze złych, skandalista — ja zaś uważam, że każda cierpliwość ma swoje granice. Nieboszczyk Stalin, na którego dziś nie powołują się nawet ci, którzy z niebywałą gorliwością realizowali jero politykę, mówił podobno, że z hrabiego komunistę zrobić można, ale z lokaja nigdy. Dzisiejsze lokajstwo to oportunizm. Patrząc jak ludzie wciąż zginają karki, jak siedzą przed zwierciadłami w istocie przed nią kłęczą, słuchając jak zmieniają poglądy z dnia na dzień, a przy tym wiedzieć, że regulacja tych zmienności jest oportunistyczny kontinentalizm, to nie dla mnie urok. Ustąpiłem z zielonego pola. Za to poszedłem mnie, że rozbiłając oddział w ZG chcę go założyć w Gorzowie. Bo wiem w ZG rozumując, jak w W-wie. W

stolicy zawsze robią coś z myślą o sobie: zawiązują sojusze, zakładają przyjaźnie, zwalczają się, polemizują, adorują — zawsze dla jakichś dodatkowych skutków dla siebie”. Niestety nie dowiedzieliśmy się, czy adopcja w stolicy jest w postaci na baczność, czy w pozycji na klęczkach? Czy też odwrotnie, i to nie w stolicy, a w Zielonej Górze?

WYZNANIE ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO (II). W tym samym felietonie Zdzisław Morawski z Gorzowa donosi: „Z tych inspiracji powstał poemat „Ziemia dla Żywych”, którego „Nadodrze” bało się drukować...”. Czekaliśmy na odważniejszych!

JESZCZE JEDEN NAWIEDZONY. Pod takim tytułem Klaus Kowalski publikuje w tygodniku „Sprawy i Ludzie” (nr 17) felieton, poświęcony muzyce rockowej, a przede wszystkim jej propagatorowi — Tomaszowi Budzyńskiemu. Autor pisze m.in.: „Między rozumem a talentem artysty istnieje bowiem głęboka przepaść, a zatem niepotrzebna jest mu mądrość, która go przerasta. Artysta może zresztą unicestwić i jedno, i drugie, jeśli tylko zbyt często przegląda się w zwierciadle własnego narcyzmu. Tragedia polega na tym, że wielu artystów traktuje swój talent na sposób mistyczny, przeto pojąją na głębie, zanim wyzną się im zbyć mądrości (...). W Budzyńskim obudziło się bowiem pragnienie zrozumienia wszechświata i swoje w nim miejsce. Pragnie wycofać się z czynnego życia artystycznego i — idąc śladami przodków — zbudować w sobie katedrę. Najgorsza rzecz w tym, że Budzyński dotarł już na pustynię...”. A z piasku to i bicia nie ukręci...

DOBRA ZNAJOMOŚĆ. Edward Smyk w „Rzeczywistości” (nr 18) publikuje omówienie książki Kazimierza Dymła,

ujawniając na wstępie: „Jestem w do- brym położeniu, pisząc o książce reportażowej Kazimierza Dymła „Skąd ten blask, profesorze Sedlak?”, gdyż znam dosyć dobrze zarówno bohatera książki, jak i jej autora. Z autorem studiowałem na tym samym uniwersytecie (...) zaś o profesora Sedlaka odcierałem się nader często z racji wspólnego przemieszczania w Radomiu. „My się odcieramy „nader często” o pewnego literata, lecz wcale nie możemy stwierdzić, że dobrze go znamy. Znamy raczej jego tandetne bibeloty.

GDZIE JEST EKSPOZYTURA DIABŁA? Po wieloletnich, zmudnych poszukiwaniach wiemy wreszcie, gdzie ma diabeł swoją ziemską ekspozyturę. Otrzymał ją sam Ksiądz w „Tygodniku Powszechnym” (nr 18), polemizując z naczelnym redaktorem pisma: „A przecież diabeł należy do religii i historii, o czym świadczą też teksty ewangeliczne. Diabeł z racji swego za wodu i powołania krąży też na pewno wokół Kościoła i jego spraw, macąc, ra cionując i udziwniając... co się da. Nie wykluczam również, że ekspozytura diabełska znajduje się także w „Tygodniku Powszechnym”. Dziwne by przecież było, gdyby moce piekielne po minęły tę ważną bądź co bądź placówkę. Niestety, w tej materii Jerzy Tu rowicz nie pomyślał „nader wcale”. Bo obok stał właśnie diabeł...

PRZY ŚNIADANIU. Właśnie przy śniadaniu snuje swoje refleksje Michał Ma liszewski na łamach „Kultury” (nr 16), pisząc m.in.: „Powoli stało się dla wszy stkich jasne, że jak sen jaki złoty prze minęła nadzieja na prawo do chrupią cych bułeczek”. Zabrakło autorowi na dziei, ale przecież pozostało jeszcze je go i wielu innych to nasze kochane nie zbywalne prawo!